

Dziś w numerze: Z. TARNOWSKA **W obronie ludzkiego zdrowia** • J. KOPROWSKI **Trzy godziny z Tadeuszem Peiperem** • K. FREJDLICH **W poszukiwaniu rodowodu** • **Takie białe ręce** • **Wieczory przy kominku** • **Człowiek w matni**

odgłosy



30. XI. 1969 r.
48 (628)
Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII

W kolejce po mieszkanie

Z CZESŁAWEM GLĄBSKIM, DYREKTOREM CENTRALNEGO ZW. SPÓŁDZIELNI BUDOWNICTWA MIESZKANIOWEGO W ŁODZI — ROZMAWIA TERESA WOJCIECHOWSKA

Dach nad głową to pierwsza życiowa potrzeba, własne mieszkanie, to pierwszy sprawunek o jakim myśli stabilizująca się rodzina. Dlatego sprawy budownictwa mieszkaniowego w naszym ciągle rozwijającym się mieście są tak ważne i palące. A potrzeby ciągle nie zaspokojone mimo, że rozwój tego budownictwa jest szybki, że na obrzeżach miasta powstają nowe, wielkie osiedla.

Główny ciężar zaspokojenia potrzeb ludności w tej dziedzinie przejęła w ostatnich latach spółdzielczość. Działające w Łodzi spółdzielnie mieszkaniowe budują już nie domy, nie osiedla, ale całe dzielnice z placówkami usługowymi, punktami handlowymi, inwestycjami socjalnymi i kulturalnymi. Spółdzielczy ruch mieszkaniowy koordynowany jest przez Centralny Związek Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego. Na czele oddziału łódzkiego stoi dyrektor CZESŁAW GLĄBSKI, z którym rozmawiamy o problemach tej istotnej dziedziny życia miasta.

ODGŁOSY: — Panie dyrektorze, powojenna spółdzielczość mieszkaniowa przechodziła różne etapy rozwoju. Jak się te sprawy kształtowały na przestrzeni lat?

CZ. GLĄBSKI: Może najpierw nieco historii. Spółdzielczość mieszkaniowa ma w Łodzi wieloletnią tradycję, sięgającą lat przedwojennych. Największa i najstarsza spółdzielnia — „Lokator” obchodziła w 1965 r. — 50-lecie istnienia. „Lokator”, w którym działali ludzie o poglądach lewicowych, miał na celu pomoc mieszkańcom w poprawie warunków bytowych. Był to odruch samoobrony wobec całkowitej obojętności potentatów przemysłowych na warunki mieszkaniowe w mieście. Dzięki działalności „Lokatora” powstało osiedle na Chojnach, w którym do dziś mieszkają niektórzy jego założyciele.

Po wojnie „Lokator” reaktywował swoją działalność ale w pierwszym okresie powojennym rozwój spółdzielczości mieszkaniowej był powolny, ponieważ państwo przejęło główny ciężar zaspokojenia potrzeb ludności w tej dziedzinie. Po roku 1957 obserwuje się szybszy rozwój budownictwa spółdzielczego. W tym okresie powstają nowe spółdzielnie jak „Bawełna” czy „Osiedle Młodych” a następnie „Przyszłość” i Łódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa. I w zasadzie tych pięć spółdzielni inwestuje do dziś w budownictwie powszechnym. Po roku 1965, kiedy w życie we-

Fot. A. Różycki

Dalszy ciąg na str. 4

FELIKS BĄBOL

W KOSZALINIE I WARSZAWIE, BIAŁYMSTOKU, OPOLU I SIEDLCACH ŁÓDŹ ZNANA JEST Z DWÓCH POWODÓW PRZED WSZYSTKIM: W ŁÓDZI ROBIA TKANINY NA UBRANIE I FILMY.

Bo jeśli chodzi o materiały, to nadal w świadomości przeciętnego mieszkańca naszego kraju pokutuje opinia o Łodzi, jako o „polskim Manchesterze”, w którym 150 lat temu wybuchła fabryczna produkcja tkanin bawełnianych i wełnianych na nie spotykaną w świecie skalę. A filmy? To TV sprawiła, że oprócz tytułu filmu reprodukowanego — do milionowej widowni dociera raz po raz informacja, że albo film albo tylko kopię zrobiła wytwórnia w Łodzi.

Skromna ta, włókienniczo-filmowa wiozówka 750-tys. miasta krąży po kraju, chociaż już od szeregu lat nie pasuje do łódzkiej rzeczywistości, ustawicznie wzbo-

gacanej, która kiedyś nawet się nie śniła Geyerom i Scheiblerom. Jest bowiem faktem, że w ostatnich latach Łódź coraz bardziej zrywa ze swą włókienniczą monokulturą, rozbudowując inne gałęzie gospodarki: przemysł metalowy i elektrotechniczny, chemiczny i maszynowy. Jeszcze produkcja zakładów przemysłu lekkiego ma charakter dominujący w porównaniu z nowymi przemysłami, których w Łodzi nie było, jeszcze na 220 tys. ludzi zatrudnionych w tutejszym przemyśle, aż 132 tys. pracuje w branżach włókienniczej i odzieżowej, ale przecież już dziś dobrą sławę temu miastu robią w kraju i na świecie nie tylko nowe licencyjne żyłki „Polsilver” produkowane przez Łódzkie Zakłady Wyrobów Metalowych, ale i rewelacyjne kserografy (aparatura do tzw. suchej poligrafii) wytwarzane przez Łódzkie Zakłady Kserotechniczne, kserografy, przed którymi czoło chyli podobno na Zachodzie sama Rank Corporation Ltd i które wkrótce po rozpoczęciu

produkcji zdobyły w Lipsku złoty medal.

Rekonstrukcja łódzkiego przemysłu ma swe źródła w czynnikach obiektywnych i ludzkich. Włókiennicza monokultura wymaga ciągłego i to olbrzymiego importu surowców i wywraza do góry nogami bilans wodny miasta. Wody zaś już w tej chwili brak, wobec czego ludność drugiego co do wielkości miasta w Polsce jak na objawienie spogląda na najnowszą inwestycję — kanał Sulejów—Łódź, rozpoczętą w br., która jednak pierwsze metry szkieletowe wody da przemysłowi i mieszkańcom dopiero w 1974 roku.

A poza tym? Poza tym wyczerpane już zostały naturalne rezerwy mocy tkwiące w przemyśle włókienniczym. W ciągu ostatnich 4 lat przyrost produkcji w tej gałęzi wyniósł zaledwie 8,5 proc., gdy dla porównania w przemyśle maszynowym 90 proc., a w elektrotechnicznym —

Dalszy ciąg na str. 8

RE-KONSTRUKCJA



Stolica Finlandii zwraca uwagę światowej opinii publicznej. Zaczyna się nawet pisać o „duchu Helsinek” jakgdyby w nadziei, że pomyślny przebieg rozmów radziecko-amerykańskich na temat ograniczenia zbrojeń strategicznych utworzy drogę politycznym rozwiązaniom sytuacji w Wietnamie i na Bliskim Wschodzie. Trudno się zresztą dziwić — problemów światowych nagromadziło się wiele, a rokowania przedstawicieli dwóch supermocarstw nieczęsto się zdarzają.

Na drodze do zahamowania wyścigu zbrojeń, ciężący ciężkim brzemieniem nad światem, mało jest dotychczas jasnych punktów. Można je wyliczyć na przysłowiowych palcach jednej ręki. A więc: układ o częściowym zakazie doświadczeń z bronią jądrową, układ o zasadach działalności państw w zakresie badań i użytkowania przestrzeni kosmicznej, układ o nierozpowszechnianiu broni jądrowej oraz — opracowywany przez Komitet Rozbrojeniowy w Genewie w październiku br. — projekt układu, zakazującego umieszczania na dnie, morzu i oceanach oraz pod powierzchnią dna, broni masowej zagłady. I to wszystko. A tymczasem istnieje wiele problemów, wymagających pilnego rozwiązania. Do nich należy właśnie zagadnienie broni strategicznej. Pytanie, na które mają odpowiedzieć rozmawiające w Helsinkach strony brzmi: powstrzymać budowę najbardziej niszczycielskich środków napadów i kontrataku, czy też rozwinąć wyścig o przewagę militarną nad swoim rywalem? Odpowiedź negatywna na pierwszą część pytania byłaby równoznaczna z dalszym i szybkim wzrostem wydatków na zbrojenia, które pochłaniają już corocznie ok. 200 mld dolarów.

Precyzja, z jaką ludzie łądzą na Księżycu i wysyłają w kosmos na kilku statkach wieloosobowe załogi, łatwo pobudza wyobraźnię, z jaką to dokładnością można by kierować śmiertelnościami główne na ludzkie zbiorowiska. Tym bardziej, że ZSRR i USA mogą obecnie szybko zrekonstruować swoje rakiety międzykontynentalne w ten sposób, aby każda z nich zabierała kilka głów nuklearnych, kierując je na różne cele. Rekonstrukcja ta wymagałaby z kolei jakościowych zmian w budowie systemu obrony przeciwraкетowej. Wtedy najprawdopodobniej powstałyby nowe anty-rakiety i świat wszedłby definitywnie w nową groźną rundę zbrojeń.

O tych właśnie problemach mówi się w Helsinkach, dotychczas, i chyba długo jeszcze, sondażowo. Kiedy jednak prowadzi się dialog — rodzi to nadzieję, że wyklucze się z niego rozsądna propozycja położenia tamy temu superwyścigowi. Na czym mogłaby się ona opierać — na ograniczeniu liczby rakiet, ich tonażu, liczbie głów, budżetu rakietowego, czy jeszcze innych zasadach? — przeduczenie się zastanawiać. Istotne jest to, aby w ogóle pohamować!

Rozmowy radziecko-amerykańskie, które mają już swoją trzyletnią historię propozycji i przygotowań, toczą się w Helsinkach. Miejsce to wybrane zostało nieprzypadkowo. Finlandia wkroczyła bowiem aktywnie na arenę międzynarodową. Wykazuje ona w swej polityce gotowość do mediacji między dwoma światowymi systemami i stara się ułatwiać kontakty między Wschodem i Zachodem.

Znana jest szeroko w świecie propozycja Finlandii, aby zainicjowana przez kraje socjalistyczne europejska konferencja na temat bezpieczeństwa i współpracy odbyła się na jej terytorium. To aktywne w sprawach pokoju i bezpieczeństwa stanowisko zjednało jej dużą sympatię.

Wybór Helsinek na miejsce wstępnego etapu rokowań radziecko-amerykańskich po raz pierwszy w historii zabiegów dyplomacji fińskiej o odegranie poważnej roli międzynarodowej. Oby był to szczęśliwy początek!

W drugiej części komentarza chcemy zwrócić uwagę czytelników na zapowiedź W. Brandta w wywiadzie dla „Życia Warszawy” szybkiego zaproszenia przez NRF rozmów z Polską. W ten sposób nowy rząd zachodniemiecki ma podjąć propozycję Władysława Gomułki z maja br. (być może, że przedłożenie propozycji wyprzedzi cykl przygotowawczy „Odgłosów” do druku i ich treść będzie już czytelnikom znana). Z góry można przewidzieć, iż fakt ten uzбудzi duże zainteresowanie i wywoła fałszywe komentarze. Będą z pewnością głosy krytyczne i ataki na Brandta prasy NRF, zwłaszcza zaś tej, która chciałaby, aby jego rząd pozostał na starych pozycjach polityki zachodniemieckiej. Będą też spekulacje co do zakresu tematycznego rozmów i ich wyników. Warto więc powtórzyć raz jeszcze — ostatecznym rezultatem tych rozmów może być tylko uznanie granicy na Odrze i Nysie. Jest to kardynalna zasada, od której nie odstąpimy. Im pełniejsza będzie w NRF tego świadomość, tym więcej szans powodzenia mogą mieć takie rozmowy.

Na zakończenie jeszcze kilka słów o zjeździe CDU w Moguncji. Przewodniczącym partii ponownie wybrany został ekskanclerz — Kurt Kiesinger, a w skład prezydium weszli reprezentanci różnych ugrupowań i tendencji. Nic nie zapowiada więc rychłej odnowy kierowniczego członka, a zatem i kursu politycznego CDU. Jak widać — z utraty władzy nie wyciągnięto żadnych zasadniczych wniosków.

W. SŁAWSKI

Zewsząd o wszystkim

Jeszcze jeden ludobójca

„MIEJDUNARODNYJE OTNOSZENIJA” — MOSKWA

Nie przebrzmiały jeszcze echa skandalu wokół osoby biskupa-zabójcy — Defregera, na rozkaz którego, podczas wojny, została rozstrzelana grupa włoskich cywilów, a już mamy nowego. O masowe morderstwo jest oskarżony generał-major Bundeswehry i były major Wehrmachtu, Molinari, kierujący egzekucją partyzantów francuskich, to jedna i ta sama osoba.

Trzej deputowani do francuskiego parlamentu zwrócili się do prezydenta republiki z prośbą o pomoc w uzyskaniu pozwolenia na przekazanie sądownictwu francuskiemu przestępcy wojennego z Niemiec zachodnich. Na razie jednak sprawa utknęła na martwym punkcie. Za biskupem — oprawcą wstawił się Watykan, Molinari znalazł opiekunów w bolskim ministerstwie obrony.

Ale nie tylko Bundeswehra patronuje przestępcy, dużą aktywność przejawia prasa prawicowa NRF, która, wg czasopisma „Konkret”, usiłuje „zamazać sprawę Molinari grubą warstwą gęstej farby drukarskiej”. Szczególnie chwiejny w swoim „obiektywizmie” hamburski tygodnik „Spiegel” wyraża „wątpliwość”, czy eks-major Wehrmachtu był obecny przy rozstrzeliwaniu partyzantów. Prasa stara się więc znów „sprawę Molinari” szybko zatuzować.

Ale we Francji nie zamierzają pusić w niepamięć przestępstw byłego hitlerowskiego oficera. Jak wiadomo, w ostatnich dniach powstał specjalny „komitet działalności na rzecz ukarania Molinari”, który zamierza się zwrócić bezpośrednio do nowego kanclerza NRF — Brandta z żądaniem ekstradycji tego wojennego zbrodniarza.

W tym roku, we wrześniu, Noir odwiedził NRD i w wydanej tam „Brunatnej księdze” znalazł biografię generała Molinari, byłego oficera 36 pułku pancernego. Zyciorys generała w mie-

scu, gdzie mowa o latach wojny potwierdzał dane, które znane były francuskiej federacji bojowników ruchu oporu w Audenach. Nie było wątpliwości, że obecny generał-major Bundeswehry i były major Wehrmachtu, Molinari, kierujący egzekucją partyzantów francuskich, to jedna i ta sama osoba.

Trzej deputowani do francuskiego parlamentu zwrócili się do prezydenta republiki z prośbą o pomoc w uzyskaniu pozwolenia na przekazanie sądownictwu francuskiemu przestępcy wojennego z Niemiec zachodnich. Na razie jednak sprawa utknęła na martwym punkcie. Za biskupem — oprawcą wstawił się Watykan, Molinari znalazł opiekunów w bolskim ministerstwie obrony.

Ale nie tylko Bundeswehra patronuje przestępcy, dużą aktywność przejawia prasa prawicowa NRF, która, wg czasopisma „Konkret”, usiłuje „zamazać sprawę Molinari grubą warstwą gęstej farby drukarskiej”. Szczególnie chwiejny w swoim „obiektywizmie” hamburski tygodnik „Spiegel” wyraża „wątpliwość”, czy eks-major Wehrmachtu był obecny przy rozstrzeliwaniu partyzantów. Prasa stara się więc znów „sprawę Molinari” szybko zatuzować.

Ale we Francji nie zamierzają pusić w niepamięć przestępstw byłego hitlerowskiego oficera. Jak wiadomo, w ostatnich dniach powstał specjalny „komitet działalności na rzecz ukarania Molinari”, który zamierza się zwrócić bezpośrednio do nowego kanclerza NRF — Brandta z żądaniem ekstradycji tego wojennego zbrodniarza.

Równouprawnienie? Tak, ale...

„FIGARO” — PARYŻ

Padają ostatnie „bastiony”, tzw. męskich zawodów. Kobiety pracują w tych specjalnościach, które od wieków były domeną panów. W ślad za kobietami pilotami — oblatywaczami, kierowcami taksówek, policjantkami, pojawiły się kobiety — kierowcy autobusów, ciężarówek. Rośnie liczba kobiet pracujących w sądownictwie, kościele, lekarzy, technikach, inżynierach.

Ale jeśli chodzi o wynagrodzenie, to tutaj pieśń piękna nie pozostaje nadal „stałą pieśnią”. Formalnie mężczyźni nie są uprzywilejowani; zasady równej płacy za równą pracę broni prawodawstwo francuskie, podobnie jak rzymskie porozumienia 6 krajów — członków Wspólnego Rynku. Ale zasada ta często pozostaje tylko na papierze.

W Belgii, żeby rozpocząć rewizję niesprawiedliwego systemu wynagradzania kobiet, potrzebny był 12-tygodniowy strajk pracowniczek państwowych na jednym z przedmieść Liege. We Włoszech z uporem kulty-

wuje się stare rzymskie tradycje zatrudniania w wielu zawodach wyłącznie mężczyzn. Kobiety zarabiają mniej, nawet za wykonywanie tej samej pracy.

We Francji sprawa wynagradzania kobiet jest bardzo skomplikowana. Wg ostatnich wskaźników, średnia rozpiętość między płacą zarobkową mężczyzn a kobiet sięga w przybliżeniu 10 proc. Oprócz tego, z różnych powodów i pod różnymi pretekstami, kobietom oferuje się jedynie podrzędne posady i znacznie wolniej awansują w większości prywatnych firm przemysłowych i handlowych, kobiety w zakresie uposażeń, są zrównane z mężczyznami. Także 10-procentowa różnica w uposażeniu utrzymuje się, gdy idzie o robotników i tzw. młodszy personel techniczny. Ale gwałtownie rośnie wśród personelu średniego i kadry kierowniczych, jeśli kobiety w ogóle zdobywają takie stanowiska.

Oczekując na nieśmiertelność

„NEWSWEEK” — NOWY JORK

Gdy dwa lata temu zmarł na raka 73-letni psycholog z Kalifornii, dr James H. Bedford, jego niezwykle pogrzeb wzbudził powszechną sensację.

Oto z ciała Bedforda wypompowano krew i zastąpiono

ją roztworem uniemożliwiającym zamarzanie, po czym ciało umieszczono w suchym lodzie i oddano na przechowanie w specjalnym urządzeniu chłodniczym. Ten jedyny w swoim rodzaju pogrzeb odbył się na życzenie Bedforda,

Łodzenie w karykaturze



ROMAN SYKAŁA
dyrektor Teatru Powszechnego
reżyser i aktor

rys. Ibis-Gratkowski

który w ten sposób pragnął przyczynić się do powodzenia kriogenicznej praktyki zamrażania umarłych. Jego idea wiąże się z nadzieją, iż współczesnej nauce uda się, i to już w niedalekiej przyszłości, reanimować zmarłych.

Mimo, że reanimacja zmarłych jest na razie marzeniem współczesnej medycyny, za przykładem Bedforda poszło jeszcze dziesięć osób. Zwłoki ich znajdują się w pomieszczeniach chłodniczych, należących do trzech amerykańskich towarzystw kriogenicznych, których naczelną dewizą jest hasło: „Śmierci nie ma!”. Skupiają one przeszło tysiąc członków; spośród nich dwadzieścia osób, w samym tylko Nowym Jorku, wyraziło pragnienie, aby zamrożono je po śmierci.

Prezes nowojorskiego oddziału kriogenicznego, adwokat Kurt Henderson, regularnie odwiedza osobliwy cmen-

tarz na Long Island, żeby się upewnić, czy ciało zmarłego w ub. roku studenta uniwersytetu nowojorskiego St. Handella oraz ciało zmarłego na raka A. de Bonenciau są przechowywane w odpowiednich warunkach. Ciało Handella jest zanurzone w płynnym azocie w temperaturze —360 st. C. Wykonanie kriogenicznego zasobnika, w którym spoczywa jego ciało, kosztowało 4500 dolarów, a comiesięczna kontrola kosztuje towarzystwo 50 dolarów.

Prezes kalifornijskiego towarzystwa kriogenicznego, inżynier elektronik Robert Nelson, zakomunikował, iż „krioterium”, którego budowa kosztowała 100 tys. dolarów, może pomieścić w swych przestronnych grobowcach z nie-rdzewnej stali 40 ciał zmarłych. Będą w nim spoczywać „jak w banku” — zapewnia inż. Nelson...

„Encyclopaedia Britannica”

„CHRISTIAN SCIENCE MONITOR” — BOSTON

Niemale zdumienie wywołała rezygnacja Williama Hailly'ego ze stanowiska redaktora naczelnego „Encyclopaedia Britannica” z pensją stu tysięcy dolarów rocznie. I to zaledwie po półtora roku pracy. A przecież wszyscy dotychczasowi redaktorzy tego uniwersalnego kompendium wiedzy starali się utrzymać na tym stołku możliwie najdłużej. Świadczy o tym choćby fakt, iż w przeciągu 201 lat istnienia, wydawnictwo miało tylko 20 redaktorów naczelnych.

Pierwsza 3-tomowa edycja ukazała się w r. 1768 w Edynburgu. Od roku 1897, na mocy porozumienia anglo-amerykańskiego, „EB” wydaje firma brytyjska w Londynie i jej amerykańska filia w Chicago. De facto, w wieku XX, „EB” stała się wydawnictwem amerykańskim. Pierwszym wspólnym wydaniem była edycja 11-ta, zaś 14-ta, poprawiona i zaktualizowana, stała się podstawą dla dalszych opracowań.

Hasła do obecnie przygotowywanej „Encyclopaedia Britannica” opracowuje ok. 100 pracowników etatowych. Ponadto z redakcją współ-

pracują setki specjalistów różnych dziedzin nauki. Mimo to w informacjach zdają się często pomylić. Kiedyś zamieszczono wzór fizyczny z rażącym błędem i tak go drukowano przez piętnaście lat. Największą trudność polega jednak na tym, że encyklopedia nie nadąża za osiągnięciami współczesnej techniki i nie uwzględnia przemian politycznych i społecznych zachodzących w świecie.

Obecnie rozpoczęto już prace przygotowawcze nad nowym, udoskonalonym wydaniem „EB”, które ma się ukazać w połowie lat siedemdziesiątych. Wydawnictwo nie ujawniło swych planów, ale oczekuje się po wszechnie, iż teksty będą „bardziej żywe”, ilustracje staranniej dobrane, a hasła ułożone nie alfabetycznie, jak dotychczas, lecz w jakiś inny sposób.

A Hailly? Wydawcy chcieli po prostu wykorzystać w celach reklamowych głośne nazwisko byłego redaktora naczelnego londyńskiego „Timesa” i dyrektora BBC (British Broadcasting Corporation). Jednakże Hailly'emu nie odpowiadała rola szefa de nomine.

TRZY GODZINY Z TADEUSZEM PEIPEREM

PONIŻSZY SZKIC POWSTAŁ KILKA MIESIĘCY TEMU. NIE PRZEWIDYWAŁEM WTEDY, ŻE OPUBLIKUJE GO JUŻ PO ŚMIERCI WYBITNEGO I ZASŁUŻONEGO PISARZA.



Tadeusz Peiper przy pracy

Fot. D. Lomaczewska

Siedzieliśmy z Wojciechem Natansonem w kawiarni „Wilanowska” przy Placu Trzech Krzyży. Była piąta, może szósta po południu. Nagle otworzyły się drzwi i do środka wszedł człowiek niewielkiego wzrostu, od tygodni niegoleny, w jesiennej przewiązanej rzeźmiennym paskiem. Poznaliśmy od razu: Tadeusz Peiper. Rozglądał się w poszukiwaniu wolnego miejsca. Poderwałem się, by zaoferować mu miejsce przy naszym stoliku. A pan właściwie kto? — spytał nieufnie. Przypomniałem mu nasz wspólny pobyt w Domu Pracy Twórczej im. Cypriana Norwida w Szklarskiej Porebie przed kilkoma laty. Wcale go to nie uspokoiło. „Przypuśćmy, że się do was dosiada. Zaraz zechcecie ze mną rozmawiać, a ja nie mam ochoty na żadne wyznania”. Obiecałem mu, że będziemy milczeć. Zgodził się. Przyśiadł się do nas, nie zdejmując rękawiczek, a kapelusz i laskę trzymał przed sobą na kolanach. I oczywiście zaczął mówić.

— Dziwi was zapewne, że nie odaję niczego do szatni. Bo nie mogę. Zdarza się często, że ktoś chce mnie sfotografować. Wtedy naciskam kapelusz na głowę i w nogi. Nie próbujcie więc i wy, bo wam się to nie uda. W ogóle nie udzielałem wywiadów, nie odpisuję na listy, nie przyjmuję nikogo w mieszkaniu, nie daję niczego do druku. Kiedyś przyszła do mnie jakaś studentka, pisząca pracę o mej twórczości, aby ze mną porozmawiać. Rozmawialiśmy godzinę, ale na korytarzu.

Nastąpiła krótka chwila milczenia. Wojciech Natanson pożegnał się z nami i wyszedł, a ja uznałem za stosowne spytać Peipera, czy nad czymś pracuje.

— Naturalnie, że piszę. Z faktu, że niczego od lat nie ogłaszam, nie wynika bynajmniej, że prowadzę życie beczynne. Piszę, trzy rzeczy: pamiętnik osobisty, pamiętnik mojego rodu i pamiętnik mojego narodu. Ale nie będę publikował ani fragmentów, ani poszczególnych tomów. Gdy skończę, wydam wszystkie trzy tomy jednocześnie i w całości.

Zbliżyła się kelnerka. Peiper zamówił ciastka i kawę, poprawił się na taboreciku i oparł ręce na stole. — Przed południem chodzę do „Mozaiki”, a po południu tutaj. W domu nie gotuję i nie jadam. Jeśli chce mnie pan kiedyś jeszcze spotkać i ze mną porozmawiać, to tylko w „Mozaice”, albo tu, w „Wilanowskiej”. Urodziłem się i przez wiele lat mieszkałem w Krakowie, byłem w Berlinie i Paryżu, a wszędzie tam lubi się przebywać w kawiarniach. W kawiarni narodziła się niejedna cenna myśl i powstało sporo dobrych pomysłów.

Peiper rozgadywał się na dobre, wbrew temu czym groził na początku. Ale zagadnięty o swoje pamiętniki osobiste, nie dał się wciągnąć do rozmowy na ten temat.

— Mogę panu powiedzieć tylko tyle, że o narodzie naszym piszę sprawiedliwie to znaczy dobrze. Na ród polski, to bardzo dzielny naród, tylko nie mający szczęścia w dziejach. Mało jest tak dzielnych narodów na świecie. Nie mam na myśli jego cnót rycerskich i żołnierskich, choć i o nich nie zapominać. Chodzi mi o coś innego: stosunek do życia. Niech mi pan wskaże naród, który stokroć poważniejszy, stokroć zrywa się do wolności, umie o nią walczyć i nawet jeśli przegra, nie upada na duchu.

To nie jest sprawa bagatelna. I chociaż dzisiaj krytykuje się to i owo nie należy gubić tego, co najważniejsze.

Wiadomo, że czas wojny spędził Peiper poza krajem. W tym momencie naszej rozmowy postanowiłem zapytać go o losy wojenne. Ale nim się na to zdecydowałem, on sam uprzedził moje zamiary. Jaki z apetytem ciastka, przepijał kawą i opowiadał.

Po wybuchu wojny znalazłem się we Lwowie, później w Kujbysze wie i Moskwie. Zaopiekował się mną nasz ambasador, profesor Stanisław Kot. Panie, to był wspaniały człowiek! Napisałem wtedy artykuł o postawie ludności cywilnej w ZSRR. Bo, ja jestem najlepszym przyjaciele Związku Radzieckiego. Nie jednym z najlepszych, najlepszym, proszę pana. Zwróciłem w moim artykule uwagę na niezwykle heroizm tych ludzi. Pisałem, naturalnie, w prasie polskiej, zdaje się w „Nowych Widnokreślach”, ale potem podchwyciła moją myśl i prasa radziecka. Nie dziwię się. Dziwię się natomiast, że tamtejsi pisarze są mi tego tematu wcześniej nie podjęli. Kiedyś pisałem dużo o teatrze, pamiętam nawet swój artykuł o „Dziadach”, w którym odkryłem problem niemiecki u Mickiewicza. Ale że mi tego artykułu w „Teatrze” nie wydrukowali, przestałem pisać o teatrze, a zacząłem pisać o tańcu. Artystycznym masie rozumieć. W końcu i o tańcu pisać przestałem. No bo jeśli moich rzeczy nie potrzebują, to ja się prosił nie będę.

Po zjedzeniu ciastek Peiper przywołał kelnerkę, zamówił nową porcję i drugą filiżankę kawy. Przed samą wojną, jako bardzo młody człowiek, czytałem po-

wieść Peipera „Ma lat 22”, która zrobiła na mnie ogromne wrażenie. Pamiętam nawet, że były w niej jakieś cytaty z Marksa w języku oryginału. Gdy wspomniał o tym pisarzowi, ucieszył się. Dodałem również, że mam w swojej bibliotece tom jego szkiców i artykułów pt. „Tędy”.

— To pan jeszcze pamięta tamte książki? Proszę pana, pewnie coraz mniej ludzi mnie czyta. Panu jako mieszkańcowi Łodzi opowiem o pewnym bardzo utalentowanym łodzianinie. Działo się to w czasach redagowania „Zwrotnicy”, a więc w niewiele lat po pierwszej wojnie światowej. Nie wiem, czy panu wiadomo, że panowała wówczas moda na literaturę i sztukę radziecką. Wszyscy byliśmy ciekawi, jak ta nowa rewolucyjna twórczość wygląda. I ja też chciałem coś na ten temat wydrukować w „Zwrotnicy”. I oto któregoś dnia znajduję w swojej skrytce pocztowej gruby list. Otwieram: artykuł o Malewiczu, nazwisko: Władysław Strzemiński, miejsce nadania: Łódź. Artykuł bardzo mi się podobał, był aktualny i potrzebny, choć zawierał sporo błędów stylistycznych. Po prawiliem go i poleciałem do drukarni, gdzie przygotowywał się nowy numer „Zwrotnicy”. Powiedziała drukarzom, że mam bardzo ważną rzecz i trzeba numer powiększyć o cztery kolumny. Powiekszyłem to powiększyć, ale kto będzie pisał za dodatkowy skład, papier i wykonanie reprodukcji. I nagle przypomniałem sobie, że mam w domu podarowany mi przez matkę piękny futrzany kołnierz do palta. To mnie uratowało. Co tam kołnierz, pomyślałem sobie, zimę mogę przeżyć i bez kołnierza, a rzecz o Malewiczu drukować trzeba. Sprzedałem kołnierz u kuśnierza i

otrzymane w ten sposób pieniądze przeznaczyłem na dodatkowe koszty w drukarni. Mam chyba prawo powiedzieć, że poznałem się na talencie Władysława Strzemińskiego, który w mojej „Zwrotnicy” debiutował jako autor ciekawego artykułu o Malewiczu.

Tadeusz Peiper uregulował rachunek, nie miał jednak ochoty opuścić kawiarni.

— Dobrze mi się z panem rozmawia, ale niech pan nie próbuje mnie odwiedzać, fotografować i puścić tego, o czym tu mówiliśmy.

— A ja właśnie mam wielką chęć to uczynić. I chciałbym prosić pana o zgodę.

— Ale co powiedzą inni, którym tej zgody odmówiłem?

Rozmowa z Tadeuszem Peiperem nie była wywiadem zamierzonym, na który przecież wcale by się nie zgodził. Spotkanie nasze nastąpiło przypadkowo i w okolicznościach nieoczekiwanych. Zresztą co ja mówię: rozmowa. Był to raczej monolog pisarza, przerywany z rzadka pytaniem lub wtrąconą uwagą. Tadeusz Peiper dobiega już osiemdziesiątki (ur. w 1891 roku), ale mówi żywo, ekspresyjnie i wciąż dopisuje mu doskonała pamięć. Myślę, że nie weźmie mi on za złe przedstawione tutaj spotkanie.

O pisarzu, którego zasługi dla rozwoju literatury, a zwłaszcza poezji w Polsce są bezsporne, coraz rzadziej się mówi i w latach ostatnich prawie w ogóle nie pisze. Przypomnienie Tadeusza Peipera czytelnikom, choćby w skromnej i wywołanej okolicznościami rozmowie, wydało mi się zupełnie naturalne. Jeśli nie mam racji — wybaczyć.

W maju 1969 r.

W odpowiedzi na ankietę

czy JUDYM...

Urodziłem się 29 V 1937 r. we Lwowie. Przez dwadzieścia lat mieszkałem na Śląsku — w Gliwicach. W To maszowie Mazowieckim mieszkałem trzy lata. Pracuję w Szpitalu Miejskim na stanowisku technika analizy medycznej. Udzielam się społecznie w zakładzie pracy; w radzie zakładowej oraz podstawowej organizacji partyjnej. Na terenie miasta: w PTK i Stowarzyszeniu Plastyków Amatorów.

Przeczytałem tytuł „Siłaczka i Judym 69”, oraz kilka zdań następujących po nim. Kilka pytań, z których każde jest problemem, a równocześnie trudno na

nie odpowiedzieć. Cokolwiek by się powiedziało, czy też napisało, to będą to tylko słowa. Wielu ludzi chce i potrafi pracować bezinteresownie, ale nie wszyscy z nich chcą, czy też potrafią o tym mówić.

Trudny pracy społecznej ponoszą zwykli ludzie. Nie patrzą na to co mówi otoczenie. Współczesny Judym nie słyszy, że często nazywają go durniem, który nie ma co robić. Walczy dla innych i za innych. By czasem ktoś go wynagrodził uściskiem dłoni, lub krótkim — „dziękuję”. Zdaje się, że to tak mało, ale dla niego to najwyższa zapłata. Bo należy

do tych nielicznych, dla których wartość ma nie tylko pieniądź.

„Pragniemy również, żeby najlepszy i najjaśniejszy społecznicy...” Od razu powstaje pytanie: a więc kto? Najtrudniej jest ocenić siebie. Czy wobec tego ja też należę do tych najlepszych społeczników? Przecież na pewno są tacy, co mają większe osiągnięcia, i których spotkała już ocena otoczenia. No, mnie też, ale czy ona jest pełnym wykładnikiem działalności? Chyba nie, bo są i tacy, o których się nie słyszy. Widzimy ich na ulicy, w urzędzie, w sklepie; coś jednak o nich wiemy. A może to właśnie oni. Rodzi się też zaraz myśl: I w końcu o czym ja mam pisać? Czy o tym, że chcąc pomóc obywatelowi X. naraziłem się panu Z. Czy może o tym, że pan K. gdy wyszedł z opresji dzięki mojej pomocy, nazwał mnie za plecami „starym bałwanem” i nie poznał mnie od tego czasu. Czy też o tym, że chcąc komuś pomóc wygłupiłem się przed kim innym, bo tamten okazał się zwykłym naciągaczem. A może o zorganizowaniu wykładu, na którą nie zjawili się uczestnicy? Iu takich jest wśród nas i nikt o nich nie mówi. Mało, otoczenie patrzy często z uśmiechem politowania. A może mam wracać do tych nocy, w które zamiast spać myślałem, co trzeba by zrobić, żeby ludzie przyszli na zebranie. Czy warto do tego wszystkich wracać? Do momentów, kiedy człowiek „wychodzi ze skóry”?

Jeszcze raz czytam w czo-

sopismie i w moich oczach olbrzymie pytanie: „Jakie cele zrealizowałem pracą społeczną?” Wydaje mi się, że można odpowiedzieć w paru słowach, a można też napisać całą książkę. Pierwszą zaś chyba też nie byłoby. Sądzę jednak, że jest jakiś główny cel, do którego dążą wszyscy. I ten da się ująć w dwóch słowach: być potrzebnym. Tak, to jest właśnie naczelna prawda pracy społecznej. Ludzie, którzy potrafią „przenosić góry” za jeden uśmiech tyl-

ko, chcą czuć się po prostu potrzebnymi. W pracy, w społeczności miejskiej czy wiejskiej, władzom, oraz poszczególnym jednostkom. To ich dopinguje i jest największą nagrodą. Większą niż wszelkie wyrazy uznania w postaci pieniędzy czy dyplomów. Równocześnie, tak samo chyba myślą wszyscy społecznicy, widząc jak otoczenie się zmienia i wiem, że w tym jest mój wkład. Zakład pracy, miasto — zmieniają oblicze, są większe i ładniejsze. Ludzie pracują wydajniej. Czy mogę jednak powiedzieć tu, że osiągnąłem mój cel?

Kilka razy, różni ludzie,

w różnych okolicznościach zadawali mi to samo pytanie. Dlaczego pracuję społecznie? Jaki w tym widzę sens? Tłumaczyłem im długo i rozwlekłe, wiedząc, że mnie nie mogą zrozumieć. A co gorsze nie potrafiłem im tego jasno przekazać. Nie dlatego, żebym nie widział w swoim działaniu sensu, ale po prostu nigdy nie roztrząsałem tego. Nawet w myśli. Bo czy sens nie jest oczywisty? Przecież tak wie-

le opiera się właśnie na pracy bezinteresownej. Nie traktujemy tego jednak opacznie. To nie jest praca dla niej samej. Ważny jest efekt. To, co się zmienia na lepsze, gdzie znajduje się mój wkład. Czasem okupiony masą wyrzeczeń. Co się wie i czuje, ale o czym tak trudno mówić. Robi się to czy tamto, bo wiadomo, że jest potrzebne. Te słowa właściwie rozumiane wyrażają wszystko, co powinien odczuwać każdy społecznik. I chyba tylko tym kierować się w swoim działaniu. Na pewno chce, by było lepiej i sprawiedliwiej w jego małym środowisku.

Mimo, że czasem dla naprawienia czegoś wchodzę w kolizję z kimś w moim środowisku. Nieraz się zastanawiam dlaczego to robię. Może taką postawę dyktuje ambicja? Chyba nie. Moje miejsce jest w codziennym potoku życia. A co poza zadowoleniem wewnętrznym daje mi moje działanie? Czuję, że jestem potrzebny.

JERZY BUNZEL



Nowe Rokicie Fot. K. Turutski

W kolejce po mieszkanie

Dalszy ciąg ze str. 1

szła uchwała Rady Ministrów w sprawie realizacji budownictwa mieszkaniowego i rozdziału mieszkań, wszystkie wnioski rodzin, w których średnia zarobku na jedną osobę przekracza 800 złotych, przeszły do spółdzielczości, co spowodowało kolejny, dalszy jej rozwój.

Spróbuję może na przykładzie „Lokatora” pokazać w liczbach te etapy rozwoju. Do 1959 roku „Lokator” oddał 1.305 izb łącznie z przedwojennymi. Do końca 1965 r. spółdzielnia ta wybudowała 9.062 izby, a na koniec 1968 r. — 24.852. W ciągu 10 lat działalności „Bawelna” oddała ponad 18 tysięcy izb, a „Osiedle Młodych” — 8.864.

O: Wspomniał Pan, że w Łodzi działa pięć spółdzielni mieszkaniowych, a przecież jest ich chyba znacznie więcej?

CZ. G.: — Pięć inwestuje w budownictwie powszechnym czyli tym, w którym jest zainteresowana większość społeczeństwa. W sumie mamy 15 spółdzielni, ale pozostałe są innego typu. Na przykład „Ogniwo” — spółdzielnia typu własnościowego, czy Łódzka Spółdzielnia Budowlano-Mieszkaniowa — zajmująca się budową domków jednorodzinnych.

O: Czy pięć spółdzielni zaspokaja potrzeby mieszkaniowe miasta?

CZ. G.: W każdym razie zabezpiecza wykonanie programu inwestycyjnego. Zaspokojenie potrzeb wiąże się ściśle z polityką mieszkaniową. W 1965 roku w wyniku reformy, o której wspominałem, przejęliśmy kilka tysięcy podań z kwaterunku, zwiększył się również napływ kandydatów do naszych spółdzielni i od tego czasu mimo, że oddajemy 7 tys. mieszkań rocznie, czeka na nowe mieszkanie 36 tysięcy rodzin. Tyle, że w tej kolejce zmieniają się stale twarze i nazwiska. Dorasta młodzież, zakłada rodziny, młode małżeństwa oddzielają się od rodziców. Wiele osób chce też poprawić sobie warunki mieszkaniowe, przemieścić się do lokalu większego.

Chciałbym wrócić jeszcze do owych pięciu spółdzielni. Nie jest to liczba przypadkowa, odpowiada pięciu dzielnicom miasta. Praktyka wykazała, że niezbędne jest powiązanie budownictwa z dzielnicowymi radami narodowymi, na terenie których nowe bloki powstają. Nowe domy stają się przecież częścią składową organizmu dzielnicy, są z nią powiązane działalnością gospodarczą i zagospodarczą.

W tej chwili mamy więc następujący podział: „Lokator” buduje na Bałutach, Łódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa w Śródmieściu, „Osiedle Młodych” na Polesiu, „Przyszłość” otrzymała zadanie budowy osiedla na Retkini. „Bawelna” buduje obecnie na Widzewie i Górnej ale jest to stan przejściowy. Na bazie osiedla Dąbrowa-Północ wykształci się samodzielna spółdzielnia mieszkaniowa, która będzie realizowała nowe inwestycje w Dzielnicy Górna i organizowała tam życie w osiedlach.

O: Może zechciałby Pan powiedzieć nam o planach na najbliższą przyszłość?

CZ. G.: Kończymy obecnie zadania planu 5-letniego — bez zaległości, a nawet z nadwyżką. Pewne

opóźnienie mamy tylko w usługach, ale musimy je odrobić. W bieżącym roku oddamy 11 tysięcy metrów kwadratowych powierzchni dla lokali usługowych jak sklepy, żłobki, przedszkola itd. Muszę się tu pochwalić, że łódzka spółdzielczość ma najwyższy w kraju wskaźnik usług.

W następnej pięcioletce, do której się przygotowujemy, czekają nas bardzo poważne zadania. Z rozpoczętych inwestycji kontynuować będziemy budowę Teofilowa i Zarzawa, będziemy jeszcze budować Żubardz-Północ i Karolew, w dalszym ciągu będziemy rozbudowywać osiedle przy ulicach Pojezierskiej i Limanowskiego oraz osiedle Matejki (Uniwersytecka — Nowotki).

Rozpoczniemy także nowe, wielkie inwestycje. Spółdzielnia „Przyszłość” przygotowuje się do olbrzymiej budowy — Retkini, największego osiedla mieszkaniowego w Łodzi przewidzianego dla 90—100 tys. mieszkańców. Jego budowa trwać będzie 15 lat, rozpocznie się w 1971 roku. Osiedle to będzie wznieszone najnowocześniejszymi metodami sztuki urbanistycznej, przy pomocy fabryki domów.

O: Ależ to będzie całe miasto w mieście!
CZ. G.: Dlatego musimy myśleć również o rozwiązaniu problemów komunikacyjnych, budowie arterii przelotowych, o formach zarządzania, zapleczu technicznym, zabezpieczającym utrzymanie wybudowanego „miasta” na właściwym poziomie estetycznym, technicznym itd.

W 1972 roku „Bawelna” przystąpi do budowy 45-tysięcznego osiedla Widzew-Wschód, również wielkiego przedsięwzięcia urbanistycznego. Przygotowania już trwają.

W tej pięcioletce budować będziemy również w centrum miasta. W związku z przebudową Dworca Kaliskiego, przebiegiem ul. Curie-Skłodowskiej i innymi posunięciami urbanistycznymi, powstanie w tej dzielnicy nowe osiedle, które pomieści się w czworoboku ulic: Towarowa, Kopernika, Łąkowa i 22 Lipca. Tę inwestycję podjęła spółdzielnia „Osiedle Młodych”.

No i Śródmiejska Dzielnica Mieszkaniowa na obszarze zamkniętym ulicami: Piotrkowska, Główna, Targowa i Brzeźna. Tę inwestycję przygotowuje Łódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa, a budowę rozpocznie w 1973 roku.

Są to zadania ogromne, większe niż w ubiegłych latach i zdajemy sobie sprawę, że wymagają od nas wielkiego wysiłku. Przy okazji chciałbym tu wspomnieć, że te duże i skomplikowane zadania inwestorskie pomagają nam bardzo skutecznie wykonać: Zakład Usług Inwestycyjnych i Biuro Projektów „Inwestoprojekt”. Dzięki tym zakładom spółdzielczość może uporać się ze stale wzrastającymi zadaniami.

O: Dziękuję za interesującą rozmowę. Sądzę, że możemy ją potraktować jako wstęp, czy też punkt wyjściowy dla poruszenia dalszych, ważniejszych zagadnień problematyki budownictwa mieszkaniowego.

CZ. G.: Na pewno znalazłoby się wiele takich interesujących spraw.

ROZMAWIAŁA:
TERESA WOJCIECHOWSKA

ZOFIA TARNOWSKA

W OBRONIE LUDZKIEGO ZDROWIA

Łagiewniki. Przed wielu laty, w okresie pierwszych prób walki z gruźlicą, podejmowanych przez zespół niezapomnianych lekarzy-społeczników: dr Sterlinga, prof. Szustrową, dr Rajferowskiego, prof. Margolisową i innych — powstał tu skromny ośrodek sanatoryjny dla dzieci — oaza dla miasta, w którym panowała gruźlica, nieodrodna siostra nędzy, bezrobocia i antysanitarnych warunków bytowania. Walka to była niemal beznadziejna, a jej historia jest doskonale znana starszemu pokoleniu Łodzi.

Rozbudowywane w pierwszym okresie powojennym sanatoria przeciwgruźlicze dla dzieci z biegiem lat pustoszały. I tak działo się w sanatorium łagiewnickim. Tworzyły się rezerwy łóżek i wówczas powstała koncepcja przekształcenia tradycyjnego ośrodka sanatoryjnego dla dzieci w szpital chorób płuc.

Pierwszym aktem prawnym było zarządzenie Wydziału Zdrowia Prez. RN m. Łodzi z grudnia 1965 r. w sprawie zmian organizacyjnych zamkniętego lecznictwa przeciwgruźliczego i ulokowania wszystkich oddziałów i klinik w nowych i nowoczesnych pawilonach w Łagiewnikach. Aktem akceptującym tę formę była uchwała Prez. RN m. Łodzi z 31.I.1969 r.

Oddziały dziecięce, oddalone od głównych pawilonów zajmują dwa budynki mieszczące się w lesie na osobnych parcelach. Przy ul. Okólnej rozprzestrzenia się kompleks budynków pawilonowych o nowoczesnej strukturze — tu znajduje się sześć oddziałów miejskich leczenia chorób płuc dla dorosłych i trzy kliniki: Studium Doskonalenia Lekarzy, AM i WAM.

Specyfika szpitala jest, jedyną w kraju, który skupia leczenie chorób płuc u dzieci i dorosłych. Ma to kolosalne znaczenie, bowiem wszystkie zjawiska patologiczne można śledzić niemal od urodzenia i poznawać ewentualne podłoże późniejszych zmian.

NIE TYLKO GRUŻLICA

Choroby płuc, to dzisiaj już nie tylko gruźlica. Dyrektor naczelny szpitala w Łagiewnikach i ordynator jednego z oddziałów informuje, że istnieje sto kilkadziesiąt jednostek chorobowych układu oddechowego. W ub. roku 38 proc. pacjentów znajdowało się w leczeniu z powodu innych niż gruźlica chorób. Do najczęściej występujących należą przewlekłe nieżyt oskrzeli z rozemną płuc — charakterystyczne dolegliwości dla mieszkańców Łodzi ze względu na mikroklimat miasta. Gruźlica zajmuje 5 lub 6

miejsce jako przyczyna absencji chorobowej, natomiast inne choroby oddechowe stanowią już problem społeczny.

DZIAŁ LECZNICTWA...

...ogromnie rozbudowany i zorganizowany w szczegółach, zasobny jest w odpowiednie zaplecze diagnostyczne, w którym rozszerzają się do ponad 50 pomieszczeń oddział diagnostyki laboratoryjnej jest potężnym zespołem specjalistycznych pracowników, m. in.: fizjopatologów oddychania i krążenia, i rehabilitacji leczniczej. Ta ostatnia jest jedną z unikalnych pracowni i mówią po prostu — zajmuje się przywróceniem sprawności narządu oddychania równoległe z leczeniem. Każdy pawilon dysponuje salą gimnastyczną. Pacjenci pod kierunkiem magistrów wychowania fizycznego i instruktorów wykonują

WIECZORY

przy kominku

„Może kiedyś, po latach, gdy wojna będzie jeno przykrym wspomnieniem, może jeszcze później, kiedy głowy nasze siwy włos okryje, zasiądziemy późnym wieczorem w gronie najbliższych koło kominka i ze łzami w oczach przewracać będziemy pożółkłe kartki naszej kroniki. Może komuś innemu dostanie się ona do rąk, a on ją z ironicznym uśmiechem odrzuci na bok, może kto inny ze czcią będzie przeglądał, czytając o pewnej grupie 60 chłopców, których zły los odrzucił daleko od ziemi ojczystej. Może który z nas zateknie jeszcze za kopalnią i przypomni sobie tę długą pracę w tak ciężkich warunkach życiowych”.

Słowa te pochodzą z „Kroniki” podziemnej drużyny harcerskiej, która powstała w czasie okupacji na terenie Łodzi. Jeden z członków drużyny przechował kronikę do dnia dzisiejszego. Jest to jeszcze jeden dokument opowiadający o nieznanych dotąd epizodach prześladowania młodzieży i dzieci polskich przez o-

kupanta. Dowiadujemy się z tej „Kroniki” o dziejach 60 chłopców, których władze niemieckie wywoziły z Łodzi do ciężkiej pracy w kopalni Beendorf koło Helmstedt.

Był rok 1944. Powstała w Łodzi nowa firma Fluggeratewart, produkująca części do samolotów. Z braku dorosłych robotników kierowano

do niej młodzież i dzieci, przedstawiając im fabrykę jako zawodową szkołę mechaniczną. Młodzi chłopcy znaklenni nauką z chęcią tam szli. Po przekroczeniu progu zakładów czekało ich rozczarowanie. Praca była tam ciężka, trwała 10 godzin dziennie. Niemiecy majstrowie, z wyjątkową brutalnością odnosili się do tych nieletnich pracowników.

Sytuacja młodzieży uległa niecoro poprawie z chwilą, kiedy do zakładu przybyła kilkunastoosobowa grupa polskich robotników. Znaleźli się wśród nich byli działacze harcerscy. W największej tajemnicy zaczęto tworzyć harcerskie zastępy. Chodziło o przeciwdziałanie demoralizującym wpływom, na jakie narazona była ta młodzież.

W sierpniu 1944 r. wszystkich chłopców wywieziono z Łodzi w głąb Niemiec do obozu we wsi Beendorf. Początkowo pracowali oni przy rozładowywaniu wagonów, później zapędzono ich do kopalni. Ciężka praca podsycała głód. Młodzież robiła wyprawy po ziemniaki na pola niemieckichbauerów. W trakcie jednej z takich wypraw, trzech

chłopców zginęło. Nie wrócili już do obozu. Nie wiadomo do dziś co się z nimi stało.

Po kilku tygodniach zaczęły się chłopcom niszczyc buty. Z trudem udało się zdobyć dla nich tzw. bezugscheiny na osławione niemieckie podbite gwoździami trepy. Na nogach potworzyły się im rany, gdyż chodzili bez skarpetek. W trebach skarpety szybko się darły, zaś droga z obozu do kopalni wynosiła ponad 2 km.

Ci, co nie mieli skończonych 16 lat pracowali 10 godzin dziennie. Ci powyżej 16 lat — 12 godzin. Kilku zachorowało na gruźlicę. Wszyscy byli apatyczni, zmęczeni i stęsknieni za rodzicami, za krajem, za wolnością.

Oto fragment modlitwy pełnej gorczy, nostalgii i buntu. Autorem był jeden z członków drużyny „Polsko, kraju święty, w którym się urodziłem, Polsko — ziemię ojczystą, Kocham cię i tęsknię za tobą. Rzucený zawieruchą wojenną na obczyznę ja, młody wygnaniec mogę tylko śnić i marzyć o tobie na obcej i wrogiem mi ziemi. Boże, czy ty nie

widzisz, że dzieci twe cierpią, że giną z dala od ojczystych ziem? Czy polską dola jest się tak wiecznie tulać? Boże, wejrzyj w to za co tak cierpimy? Czy długi jeszcze jest kres naszych cierpień?”

Pod koniec sierpnia część grupy przewieziono do obozu w Chemnitz. Tam każdy otrzymał literę „P”, którą pod groźbą kary trzeba było już odtąd ciągle nosić. W Chemnitz głód był o wiele większy niż w Beendorf. Podarły się ubrania, trepy rozlażyły w szwach, a nowych nie otrzymano. Zbliżała się zima.

Najbardziej radosnym, a zarazem smutnym dniem był 19 stycznia 1945 r. Dowiedzieli się, że Łódź jest wolna. Oni niestety nadal skazani byli na 12-godzinny pobyt pod ziemią na głębokości 470 metrów. Zdawali sobie sprawę, że jeśli wojna trwać będzie dłużej żaden z nich nie przeżyje. Coraz więcej było chorych. Z głodu zaczęli im się roić fantastyczne plany ucieczki.

Przed całkowitym załamaniem ratowała ich harcerska działalność jaką prowadzono na terenie obozu. Gru-

systematycznie zestawy ćwiczeń gimnastycznych przywracających także sprawność ruchową po zabiegach, poważnych operacjach i innych metodach leczenia.

Koncentracja sprzętu pozwala na maksymalne wykorzystanie cennej aparatury przez wszystkie oddziały i kliniki. Istnieje potrzeba uzyskania jeszcze nowoczesniejszej, a szczególnie aparatury dla projektowanego oddziału intensywnej terapii i reanimacji w przypadku ostrej niewydolności oddechowej — zjawisku dość często występującemu w chorobach płuc. Wydział Zdrowia, któremu należy przypisać wiele zasług w organizacji szpitala myśli o wypełnieniu tej luki.

NAUKOWE PROBLEMY

Ten prawdziwy kombinat leczenia chorób płuc, zatrudniający 560 osób dysponujący specjalnym działem żywienia, podejmuje obok działalności terapeutycznej poważne zadania naukowe. Zacierają się tu różnice pomiędzy klinikami a oddziałami. Odjęto administracyjne troski klinikom, które pracą dydaktyczno-naukową podnoszą poziom w oddziałach miejskich. Zarówno kliniki jak i oddziały opracowują swoje plany naukowe, a koordynacją zajmuje się Rada Naukowa szpitala.

Tu, w ramach zespolonej działalności z dzielnicowymi poradniami przeciwgruźliczymi przy koordynacji Przychodni Przeciwgruźliczej dla m. Łodzi podejmuje się zadania o znaczeniu ogólnoswiatowym. Światowa Organizacja Zdrowia powierzyła Klinice Ftyzjatrzyjcznej Studium Doskonalenia Lekarzy opracowanie programu leczenia przewlekłej postaci gruźlicy płuc przy użyciu najnowszych leków przeciwpłatkowych. Tylko bowiem w warunkach socjalistycznej struktury lecznictwa przeciwgruźliczego, czego wzorcem jest łagiewnicki kombinat — można podjąć próby opracowania metody, którą Światowa Organizacja Zdrowia przekazała na ogólnoswiatowy użytek.

Jest to najdobitniejszy wyraz rangi, jaką osiągnął łódzki szpital. Naukowe zadania, które wynikają z inspiracji codziennej praktyki terapeutycznej, podejmują tzw. zespoły problemowe, składające się z lekarzy klinik i oddziałów. Epidemiologia gruźlicy, chemioterapia, rehabilitacja w chorobach układu oddechowego, fizjopatologia oddychania, hematologia (diagnostyka na podstawie obrazu krwi) ostre i przewlekłe choroby układu oddechowego u dzieci i u dorosłych i choroby oskrzeli — oto przykładowe problemy, wiążące naukę z praktyką.

Jesteśmy już daleko od dni, w których dobra wola, poświęcenie i przypadkowe gesty hojności stanowiły fundament walki z gruźlicą. Niechętnie wracamy do tych czasów. Trzeba jednak przypominać przeszłość, żeby ocenić teraźniejszość. W 25-lecie Łódź likwidującej nędzę starego życiorysu łagiewnicki szpital chorób płuc jest ilustracją ogromnych i owocnych wysiłków miasta, państwa i medycyny w dziele ochrony ludzkiego zdrowia.

ZOFIA TARNOWSKA

pa była dobrze zorganizowana, istniał obowiązek niesienia pomocy najsłabszym i najbardziej wyczerpanym. Urządzali zbiórki w pobliskim lesie, organizowali imprezy kulturalne, przedstawienia i kominiki harcerskie. Starsi prowadzili działalność sabotażową. Posiadali także bibliotekę. Było w niej 60 książek. Wydawali nawet własną gazetkę pt. „Humor i zgroza”. Redagowana była pismem odręcznym w jednym lub dwu egzemplarzach.

Oto fragment wstępnego artykułu: „Szانونi Czytelnicy! ubolewając nad brakiem wiadomości i wyższych uczelni w naszym nowo powstałym mieście „Askani” wydajemy niniejszą gazetkę, która ma za zadanie uprzyjemnić życie naszym czytelnikom. Zawiera ona w sobie przyjemność z pożytkiem dla umysłu i czytając ją dostrzegamy wiele rzeczy, które dotychczas były dla nas obce. Za grubą kurtyną śmiechu kryje się zgroza...”

Pewnego dnia wszystkich niespodziewanie zwolniono z pracy i kaza-

no wracać do baraków. Cały obóz był obstawiony przez SS-manów uzbrojonych w maszynowe karabiny. Zaczęły krążyć pogłoski, że w Helmsiedt są już Amerykanie. Żołnierze SS zaczęli wypędzać ludzi z baraków. Długa kolumna złożona z jeńców różnych narodowości ciągnęła się wzdłuż szosy biegnącej obok obozu. Pod konwojem SS-manów pomaszerowali w kierunku Berlina również nasi chłopcy. Cieszyli się, że są blisko frontu. Zapadał już mrok a oni ciągle jeszcze szli naprzód. W pobliżu jakiegoś wioski SS przekazało kolumnę Volksturmowi. Po oddaleniu się SS-manów chłopcy zaczęli stawiać opór. Zdecydowali nie ruszać się z miejsca i czekać na Amerykanów. Rozłożyli się na ziemi i tak doczekali rana. Rano Niemcy usiłowali ich gnać dalej. Przygnębieni i zmęczeni, pod groźbą rewolwerów poczęli zbierać się do drogi. Wtedy dali się słyszeć strzały artyleryjskie i szum motorów w pobliżu. Zza rogu wyjechał czołg. Wyskoczył z niego żołnierz. Spenetrowali ulicę i za chwilę pojechali dalej. Młodzież poznała ich

HONORATA CHROŚCIELEWSKA

Poeta ludowy

Łało jak z cebra. Wszyscy marzyliśmy o rychłym powrocie do Łodzi. Nawet nasz pies Mak płał się oswoić pod nogami, mając wyraźną dość bukowińskich wakacji. Jak zwykłe pobiegłam do kiosku po prasę. Z tym, że dziś pewnie z powodu deszczu i strasznego zimna nie było przy nim żywego ducha. Kioskarz w najlepsze czytał sobie „Życie Literackie”. Zdebiłam. Lektura „Życia” wymaga przecież niemałego przygotowania, a na twarzy kioskarza malował się zachwyt. Wspięłam się na palce, aby sprawdzić, co go tak zafascynowało. Harasymowicz! Tasiemcowy poemat Harasymowicz!!! Wtedy kioskarz spostrzegł mnie. Wydał się zażenowany. Głośno wyraził swoją radość:

— Nareszcie jest „Życie”! Bez mała przez dwa miesiące nie miałam w rękach żadnej prasy literackiej. Zmieszał się jeszcze bardziej:

— To moje, bo ja składałam. Jak chcecie, to wam pożyczę...

— Bardzo ciekawe pismo, tylko diabelnie trudne — powiedziałam, żeby w końcu coś powiedzieć.

— Jak się wolno, w spokoju czyta... — Zwłaszcza wiersze trudne — nie dawałam za wygraną. — Ta dzisiejsza poezja...

Skinął posiwiałą głową: — Są i bardzo piękne... złotym sercem pisane jako i ten właśnie — bódł paznokciem wersy Harasymowicza wiersza — o nas, o górach, Słowackich z Jurgowa, o obrazkach na szkło... Dam wam, ale oddajcie, bo składałam. Wyście pewnie z Warszawy? — ożywił się nieco.

— Gdzie tam — mówię — z Łodzi, ale to jakby przedmieście Warszawy... — śmieje się.

— Trza było mówić, to bym wam „Odgłosy” zostawił. Trzy sztuki przy chodzą.

Zaskoczona zainteresowaniami kioskarza zaczęłam coś pleść bez ładu i składu o poetach związanych z Podhalem.

— Tak... Poezja. Ma tu niemałe tradycje Tetmajer, naturalnie, Nowicki. A byłam wczoraj na grobie Małaczewskiego... Liebert waszym sąsiadom z Jurgowa poświecił słynną Karczmę Jurgowską...

Góral uśmiechnął się radośnie jak dziecko:

— Też trochę piszę... wierszyczki... Jak kto się żeni, na chrzest albo zacczęcie szkoły. Kiej w pięćdziesiątym czwartym chałupa spłonęła, spaliło mi się trocha. U Kuchty mieszkacie, hej! W ogrodzie was widziałem. Pod wieczór przyjdę i przyniosę, kiej żeś cie ciekaw.

I przyniósł. Wielką pakę wierszy, owiniętych w zrudziałą gazetę. Na samym wierzchu leżał ten o Solskim.

— To był artysta bardzo wielki — skomentował. — Kiej choroba przytłumiła go do łóżka, posłałem mu ten wierszyczek. Kazał go gazetom wydrukować i list z podziękowaniem przysłał. To było w dwudziestym piątym. Takie sobie wierszyczki piszę... kiej mi smutno, kiej serce boli, na żal i kiej się raduje...

— A jakich pisarzy czyta pan najchętniej? — spytałam, szczerze już zaciekawiona.

— Ano... Kochanowskiego, Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i naszych... Tetmajera, Orkana, Kasprowicza a z tych nowych, Jalu Kurka, bo dobrą mową tutejszą pisze.

— Niech mi pan opowie coś o sobie — poprosiłam.

Ma już Stanisław Bieniek 74 lata. I ma swoją wielką miłość — Bukowinę. Jeszcze przed wojną wspólnie z nauczycielem Franciszkiem Czwisewierem zakładał Tow. Przyjaciół Bukowiny i zostaje jego prezesem. Dzięki jego staraniom powstaje Dom Kultury, teatr amatorski, ba, regulowane ulice. — Naśmiewali się, że chce z Bukowiny Warszawę zrobić. A niech tam! — powiada. Po wyzwoleniu zostaje pierwszym przewodniczącym Gminnej Rady Narodowej, a potem przez wiele lat pełni funkcję radnego. Po żywności dla wygłodzonej straszliwie przez okupację wsi jeździł podobno aż w Poznańskie i miał wtedy niesłychane przygody. Był jednym z założycieli Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”. — Teraz już jestem stary — mówi wcale nie tak znowu bardzo trzęsącym się głosem — a tyle tu jeszcze do zrobienia!

Nie próbuje jednak Bieniek i teraz. Został opiekunem społecznym. Z wielką troską i życzliwością opowiada mi o swoich podopiecznych: kalekach, zniedołężniałych starcach.

Właśnie swojej górskiej ojczyźnie i jej mieszkańcom poświęca swoje wiersze. Píše więc na żal i radość, na śluby i pożary, na otwarcie szkoły, na chrzciny, na przyjazd sekretarza i na przyjazd biskupa — raz po góralsku, raz po „polsku” — bo mimo swe go czytania nie przyswoił jakoś terminu „język literacki”; streszcza wierszem legendy góralskie i w legendy już obracające się opowieści o partyzantach i przetrzaskach przez góry; pisze o swoich młodzieńczych łazęgach po górach, w tym i o wybieraniu piór i puchu z gniazd orlich po stronie słowackiej. Jest właśnie poetą ludowym, takim — o jakich myślałam, że istnieją już tylko na bardzo archaicznych kartach dawnych literatur, jak staro-celtycka czy normańska, oraz na nowszych, ale też już żółknących kartach nie napisanych dzieł naszej literatury ludowej. Bo zważcie, dawny poeta ludowy był jednocześnie przewodnikiem skupiska ludzkiego, opiekunem, znachorem nawet, organizatorem życia, profesjonalnym oratorem i zabawiaczem na weselach, faceciomistą itp. Takim jest właśnie Bieniek, poeta nie znany nawet i w dalszych wioskach górskich, począwszy od Bystrego czy Łapsza. W ciągu swego życia drukował trzy czy cztery razy i to nie z własnej inicjatywy. Nie należał do Zakopiańskiego Klubu Literackiego, nie obnosił dla reklamy góralsko-celtyckiego stroju jak inni, uznani, występujący z wieczorami, powołujący do życia zespoły pieśni i tańca swego imienia.

Jeden z jego wierszy zaniósł do „Ikaca” Ludwik Solski — to ten wiersz, który przysłał mu Bieniek zmartwiony chorobą wielkiego aktora. I drugi o partyzantach. Przeczytajcie ten wiersz i nie marnujcie waszych wakacji na dodeptywanie do szczytów zakopiańskich deptaków i wachanie spalin na Krupówkach.

Wszędzie czekają nas małe i wielkie przygody i odkrycia. Jak choćby te, które zdarzyły mi się w drodze do Łapsza Niżnych. Ale o tym, może kiedy indziej.

STANISŁAW BIENIEK

Partyzanty

Jako ty świstoki

Teros w miylnik grotak

Chroniom se blydokli

Od Nymca, siroty.

W latoś, w graniak stromyk

Szarotka im kwitnie,

Oset dziewiędzikolnik

Spileckami muśnie.

Partyzancem dole

Świstok przypominio:

W jakim to mozołe

Walcom nose syny.

Szkiełk tyk, co spadli

W przepaś z bystryj grani,

Limba hyr ik sławi —

Wojskowyk kochanyk.

Bukowina Tatrzańska 1943 r.



pa była dobrze zorganizowana, istniał obowiązek niesienia pomocy najsłabszym i najbardziej wyczerpanym. Urządzali zbiórki w pobliskim lesie, organizowali imprezy kulturalne, przedstawienia i kominiki harcerskie. Starsi prowadzili działalność sabotażową. Posiadali także bibliotekę. Było w niej 60 książek. Wydawali nawet własną gazetkę pt. „Humor i zgroza”. Redagowana była pismem odręcznym w jednym lub dwu egzemplarzach.

Oto fragment wstępnego artykułu: „Szانونi Czytelnicy! ubolewając nad brakiem wiadomości i wyższych uczelni w naszym nowo powstałym mieście „Askani” wydajemy niniejszą gazetkę, która ma za zadanie uprzyjemnić życie naszym czytelnikom. Zawiera ona w sobie przyjemność z pożytkiem dla umysłu i czytając ją dostrzegamy wiele rzeczy, które dotychczas były dla nas obce. Za grubą kurtyną śmiechu kryje się zgroza...”

Pewnego dnia wszystkich niespodziewanie zwolniono z pracy i kaza-

no wracać do baraków. Cały obóz był obstawiony przez SS-manów uzbrojonych w maszynowe karabiny. Zaczęły krążyć pogłoski, że w Helmsiedt są już Amerykanie. Żołnierze SS zaczęli wypędzać ludzi z baraków. Długa kolumna złożona z jeńców różnych narodowości ciągnęła się wzdłuż szosy biegnącej obok obozu. Pod konwojem SS-manów pomaszerowali w kierunku Berlina również nasi chłopcy. Cieszyli się, że są blisko frontu. Zapadał już mrok a oni ciągle jeszcze szli naprzód. W pobliżu jakiegoś wioski SS przekazało kolumnę Volksturmowi. Po oddaleniu się SS-manów chłopcy zaczęli stawiać opór. Zdecydowali nie ruszać się z miejsca i czekać na Amerykanów. Rozłożyli się na ziemi i tak doczekali rana. Rano Niemcy usiłowali ich gnać dalej. Przygnębieni i zmęczeni, pod groźbą rewolwerów poczęli zbierać się do drogi. Wtedy dali się słyszeć strzały artyleryjskie i szum motorów w pobliżu. Zza rogu wyjechał czołg. Wyskoczył z niego żołnierz. Spenetrowali ulicę i za chwilę pojechali dalej. Młodzież poznała ich

— to Amerykanie! Wolność! Łzy radości pojawiły się w oczach, wszyscy zaczęli śpiewać „Jeszcze Polska nie zginęła”.

9 maja obchodzono radosny koniec wojny. 10 maja zginął jeden z harcerzy przypadkowo postrzelony przez Amerykanów. W tydzień po tym przykrym zajściu cała drużyna harcerska już teraz jawnie pociągłem udala się do Magdeburga. Następnym etapem był obóz uchodźców w Hildesheim. Harcerze pomagali organizować życie w obozie. W chaosie mas ludzkich, które się wtedy przevalały przez całe Niemcy była to chyba jedyna zorganizowana grupa ludności cywilnej. Ponieważ przez granicę przejście było na razie zamknięte, chłopcy przygotowywali się do uzyskania stopni harcerskich. Szyto mundury z materiału otrzymanego od wojska. Resztę czasu spędzali na wycieczkach, zabawach i grach harcerskich. Wreszcie cała drużyna na uroczystym ognisku złożyła przyrzeczenie harcerskie i zastąpili udano się na parodniowe wycieczki po okolicy.

We wrześniu została otwarta szkoła powszechna, do której uczęszczali obowiązkowo wszyscy harcerze. Chłopcy zdobyli sobie duży szacunek i popularność wśród uchodźców oczekujących na powrót do swych domów. Jednak z nią na dzień wzmagała się wśród nich tęsknota za ojczyzną. Chłopcy coraz częściej marzyli o domu. 28 września 1945 r. zdecydowano, że dłużej już nie będą czekać i całą drużyną postarają się dotrzeć do kraju. Wczesnym rankiem wymaszerowali zastępami w kierunku stacji. Szczęście im sprzyjało, dostali się w pierwszym etapie pociągami do Kassel. Tam przenocowali i zaopatrzeni przez dyrektora UNRRA w żywność udali się przypadkowym pociągami do Wirtzburga, stamtąd do Norymbergi, z Norymbergi do Schwandorfu. W październiku przekroczyli granicę niemiecko-czeską. W dwa dni potem przybyli do Pragi.

6 października 1945 roku przekroczyli granicę ojczyzny. Przejechali

przez Katowice i Częstochowę. W Kozuszkach przesiadła, na pociąg do Łodzi Fabrycznej. Na dworcu odbyła się ostatnia pożegnalna zbiórka i rozwiązanie drużyny.

Kilkunastoletni wówczas chłopcy to obecnie już dojrzały ludzie. Wielu z nich pracuje i mieszka na terenie Łodzi. M. in. Wacław Dybowski jest operatorem filmowym, Napoleon Jarosik dyrektorem szpitala, Wiesław Leliński ukończył Politechnikę Łódzką, Jan Olczyk jest głównym technologiem fabryki włókienniczej, Henryk Kaczor — lekarzem, Władysław Bąk — milicjantem, Aleksander Łukowski — technikiem. Zgodnie z przewidywaniami ich kronikarza swe gmatne przeżycia wspominają „dziś wieczorami w gronie najbliższych koło kominka”. Nie są to wspomnienia najmiłsze.

Opr. K. B.

Takie białe **RECE**

Romka nie była „kimś” — zwyczajnie nastolatka, jakich wiele w szkole, na boisku sportowym, w małej salce, gdzie hałasuje big-bit. Usiłowałem i ją też zainteresować „Dziadami”, „Lalką”, potem Broniewskim, Tuwimem — próbowałem Różewiczem i Szym borską. W końcu spodobał jej się Harasymowicz, bo tam dużo z bajki i taka piękna przyroda — uzasadniała swój pierwszy zakup książki z wierszami. Pamiętam, do obcowania z przyrodą nie trzeba było jej zachęcać, uchodziła za pierwszą turystkę i to nie tylko od zbierania plaketek.

A potem zaistniała sprawa z kregosłupem. Można by to ułożyć w równy ścieg wydarzeń, ale kto mógł przypuszczać, że te zrazu rzadkie bóle, które ją przygniatały do szkolnej ławki, były zapowiedzią katastrofy. Pierwsza ławka przed katedrą opustoszała — cicha i nieśmiała Ewa nie była w stanie nadrobić braku ruchliwej i roześmianej Romki. Parę miesięcy temu wierzyłem w zapewnienia Krystyny, że już niedługo Romka powróci na swoje miejsce w pierwszej ławce. Rysiek, choć nie był takim optymistą, dodał hamując: „Przyjdzie na pewno i znów się wybierzemy na rajd, albo obóz w drowny, zobaczy pan, jakie odwalimy chodzenie”. Chciałem to zobaczyć.

Teraz patrzę jak wyprostowana leży nieruchomo i tylko oczy świecą buntowniczo. Patrzę w te oczy i widzę, że pochylona do przodu bierze z uśmiechem podejście, choć plecak ciężki a słońce grzeje mocno. Rozgrzana, rumieni się od słońca, a na czole polyskują drobne kropelki potu.

— Dobrze idę? — pyta, łasa na pochwały. Jeszcze chłopców wypierdę — dodaje wyzywająco i ociera grzbietem dłoni czoło i twarz, a kosmyki ciemnych włosów klei się do policzka, jakby go przecinał na dwoje. Przybrudzona, drobne ręce z nierównymi poobgryzany mi paznoklami ścisną kurczowo pasy plecaka. Kiedy tak z boku popatrzę, nie wiadomo, czy ona dźwiga plecak, czy to on u-

nosi ją nad ziemią. Sapie głośno i ciągnie uparcie do przodu. Zaliczaliśmy wtedy Łysicę, ale od tej łatwiejszej strony. Było wesoło i jak zawsze serdecznie. Krystyna przypomina mi, że po drodze zafun-dowali sobie spory garnek kwaśnego mleka. W tej spiekocie przysłużył się nam lepiej niż miastowe zapasy.

To Romka po tej mlecznej libacji zaproponowała, żebyśmy w przyszłym roku zjechali tu na dłużej. Według jej przewidywań miało to być równo rok temu, bo tyle już wożą ją od szpitala do szpitala, od kliniki do kliniki. Bardzo mnie to męczyło, skarży się nieśmiało. Wciąż nowi ludzie, nowe twarze, coraz to inne sale, łóżka, nawet pokarmy. Początkowo myślałam, że tylko mnie los przesładowa, że znęca się nade mną, już nie wiem, za jakie winy. Potem zaczęłam inaczej myśleć. Jeszcze nigdy, jak żyję osiemnaście lat, nie widziałam tylu wraków ludzkich. Począwszy od nóg, a na wyłamanych szcękach skończywszy, przewijały się obok mnie tak zwane skomplikowane przypadki. Ja jeszcze mówię, jem, ruszam rękami, nawet palce u nóg mogę powołać, do nieznacznego wprowadzając, ale zawsze działają. Męczyło mnie to ciągle patrzeć w sufit i że tylko z wielkim trudem mogłam przechylać głowę o parę centymetrów. Drażniło mnie patrzeć w niłą barwę ścian, która wszędzie była jednakowo smutna. Najczęściej byłam najmłodsza, niektórzy próbowali mnie pocieszać, że jeszcze wyjdę z tego. Wierzyłam, a jak nawet zauważyłam niewyraźne za sepienie lekarza, łudziłam się, że zastanawia się nad nowym lekiem, albo operacją. Do tej pory lamali mnie. Jedenaście razy i parę razy robiono przeszczepy. Wciąż dziwię się, że w moich kościach podobno siedzą jakieś metalowe klamry, haki czy bolce, nie wiem nawet, jak to wszystko się nazywa.

Zmęczyło ją mówienie, przez chwilę ją opowiadałam, ale mnie też rwie się wątek, kiedy patrzę

na jej czoło z głęboką bruzdą po środku i kiedy patrzę na dłoń tak białą, jak płótno powlekające koldrę i widzę drobniutkie pasemka krwi prawie na samej skórze. Tylko dlaczego nie są one czerwone... Palce drgają, kiedy całe ciało obleczone białym pancerzem gipsowym nieruchomo przylega do łóżka. Zawsze ręce były najruchliwszym kawałkiem tej dziewczyny. Ręce i oczy. Widzę, jak podnosi dwa palce na wysokość oczu — chce odpowiadać, gdy oczy ujawniają, że trochę lęka się odpowiedzi. A kiedy już stoi, zaplata palce, jakby z nich czerpała odwagę. Oczy ciemnieją i są już prawie tak brązowe, jak te dwa kosmyki po obu stronach twarzy.

My Romce pomagamy — dociera do mnie głos Krystyny. Będzie-my ją tak długo odwiedzać, jak tylko będzie potrzeba — uzupełnia Irena. Słyszę jeszcze inne głosy dziewcząt i chłopców, a miejsce obok Ewy puste, nawet ołówka tam nie położy, ani książki, ani zeszytu. To jest miejsce Romki. „Nowa” już jest zorientowana w sytuacji, ale na początku miała trochę kłopotów. Chciałam usiąść, mówi, w pierwszej ławce, nie wypada od razu szukać lepszego miejsca, nie wiedziałam, że jest zajęte. Po lekcjach powiedziano mi, chyba Rysiek to mówił, ten chłopiec, który siedzi przy oknie, żebyśmy usiadła z Iną albo z Violką, bo Ewa ma już sąsiadkę. Wprawdzie minęły trzy miesiące, jak przyszedłam do tej klasy, a jeszcze nie widziałam, aby miejsce było zajęte. Powiedziałam o tym Irenie. Odpowiedziała — nie, szkodzi, na razie jest wolne, ale to miejsce Romki. Jak mnie zaprowadziły do niej, już wiedziałam, że jestem „nowa”, i że sobie radzę z „polakiem”.

Przerobiliśmy z Romką całe dwudziestolecie międzywojenne i wszystkie ćwiczenia z angielskiego. Myślę, że jest w kursie — Mirek mówi powoli i dobitnie. Chce mnie przekonać, że nie ma mowy o jakichś przerwach w robocie. W tym tygodniu zaczynamy nową kołęjkę dyżurów. Jak zwykle po dwoje — konsultant i sprawozdawca. Załatwimy cały tydzień relacją, a potem dokładnie każdy przedmiot po kolei. Były trudności z pisaniami, ale rozwiązały sprawę wykorzystując rysownicę z podpórki, pomaga, nawet nie potrzeba podkładać pod głowę poduszki. „Jak pan sądzi, będzie przygotowana do matury”? Odpowiedziałam głośno, że chyba będzie. Innej odpowiedzi nie oczekiwałam.

Znowu mówi Romka i znowu ręce rozpoczynają ożywiony taniec na pościeli. — Czasem wydaje

mi się, że będę leżała w tym łóżku całe życie. Już teraz tracę rachubę, ile mnie trzyma ten gips. Dobrze, że z klasy przychodzi. Zawsze te dwie, trzy godziny mniej samotności i matki i ojca, którzy wciąż mi mówią o jakimś niezwykłym aparacie mającym umożliwić mi chodzenie. Nie chcę tego słuchać. Cieszę się bardzo, że nikt nie zajął mego miejsca. Ta nowa to miła dziewczyna i wcale nie taka zarożumiała, jak mówił Janek. Ona jest nieśmiała i dlatego nadrabia miną. Jak wrócę zaraz poproszę, żeby mogła z nią siedzieć, choć z miesiącem, nim się oswoi i zadomowi w klasie. Podciągnę ją z matematyki, a ona pomoże mi w polskim. Myśli pan, że Ewa będzie zazdrosna? Wytlumaczę jej, że to tylko na miesiąc. Ewka nie jest zła, tylko ma kłopoty w domu i gryzie się, pewnie stąd jest taka ośchła. Jej mama jest chora — ma rakę. Ona wie o tym i wie też, że ojciec czeka, aż matka umrze, żeby mógł się znowu ożenić. Ja już bym się drugi raz za męża nie wydała. Czy to warto? A w dodatku dzieci będą miały macochę. Najlepiej to wcale nie mieć dzieci. Dlaczego? Z różnych względów, wolę nie mówić. Ja sobie to wszystko przemyslałam. Tyle mam czasu, że wszystko mogę rozważyć szczegółowo. Przez pierwsze miesiące to tylko myślałam o sobie i co trochę płakałam. Wszyscy mnie pocieszali. To było najgorsze. Nie chciałam, żeby mnie wciąż pocieszano, bo to potwierdzało, że ze mną jest źle. Nie chciałam się nabierać na te kłamliwe słowa. Widziałam przecież swoje ręce. Pan pamięta? Wciąż się wstydzę, że mam brudne ręce. Nie wiedziałam, jak to się działo, że zawsze musiałam wysmarować, to ołówkiem, to atramentem, kredą i już nie wiem czym. Potem nie miałam okazji brudzić. Z każdym dniem stawały się coraz jaśniejsze. Teraz mam takie białe, że wątpię, czy to są te same moje ręce. Niech pan spojrzę, czy takie powinny być ręce? Nie chcę, żeby były takie białe. Nie chcę. Nie chcę! Zaciśnięte w pięści nie były większe, niż paluszki dziecka. W tym bezsilnym proteście stała się jeszcze bardziej bezradna. Na całej długości wyciągniętych ramion jaśniała biała skóra, a na końcu przed moimi oczami białe paluszki pokreślone linijkami żyłek. Wysilona zamilkła i tylko oczy krzyczały jeszcze protest małego, zamkniętego w białej skorupie człowieka. Zdaje się, że chciałam powiedzieć coś o nowych skutecznych sposobach leczenia psujących się kości. Przede mną leżały moje własne ręce — ciemne, gruboskórne, miejscami pokryte drob-

nym włosem. Wyzywające ręce zdrowego człowieka. Starczyło mi odwagi na sięgnięcie po papierosa. Zapragnąłem najmocniej, żeby stał się nagle długi, tak długi, aby ułatwić mi ułożenie obłudnej opowieści dostatecznie przekonującej. Może uwierzy, może czas, który jest za nią, jeszcze nie pozabawił jej potrzeby ulegania przekonującym argumentom. O jakim czasie myślę? Czy o jej — licząc tygodniami nieruchomego leżenia z oczami czepiającymi się sufitu i dłońmi, które nieustannie przemierzają fałdy pościeli, czy chodzi mi o czas mojego papierosa, choćby długiego na kilometr?

— Pan już wychodzi, dziękuję za wizytę. Proszę się o mnie nie martwić. Jutro przyjdzie do mnie Krystyna i Rysiek, może Irena do nich dołączy, albo Wojtek z Te resą. Pouczymy się trochę, a potem opowiedzą mi, co dzieje się w klasie — podobno zmienili się profesor od „politycznej”. — Tak — mówię — jutro ma przyjść też Halina i Mirek i Krystyna. Myślę, że będzie ci wesoło. Naprawdę będzie nam wesoło, mówi Romka i głodzi białe płótno białymi do przejrzystości palcami. Tak nam będzie wesoło, jakbyśmy forsowali to podejście, które dwa lata temu musielśmy obchodzić. Ułożymy to sobie dokładnie. A gdyby ta „nowa” chciała siedzieć z Ewką, proszę nie zabraniać, niech zajmie miejsce, jakoś się po godzimy.

„Nowa” za miesiąc przystępuje do matury. Uświadomiłem to sobie dopiero za drzwiami, kiedy spojrzałem na swoje ręce niezbyt w tym dniu czyste i kiedy poczułem, że pieczę mnie dopalony do końca papieros. Mój kregosłup trzymał się prosto i dobrze mi służył, gdy jej, który ma zaledwie tyle lat, ile mój nawyk palenia, sztywno tkwił w gipsowym uchwycie. Ten kregosłup to trudny przypadek mówią specjaliści o jasnych rękach — trudny i niebezpieczny, dodają i jeszcze mówią, że ze spondylitis Tbc niewiele wygrają. Ale są jeszcze te oczy, które krzyczą. I ta gromadka młodych, zdrowych organizmów, która nakazuje mi wierzyć, że ten przypadek to przecież Romka, i że na przekór owej spondylitis Tbc muszę ją jeszcze zobaczyć w pierwszej ławce w środkowym rzędzie. Tak myślę, a widzę tylko te białe, drobne ręce jak niespokojnie wedrują po szeleszczącym płótnie przez długie godziny dnia i jeszcze dłuższe godziny nocy.

A po ulicach sobotni tłum spaceruje od sklepu do sklepu w zwykłą porę przedwieczornych zakupów.

WACŁAW MROZOWSKI

Nad Mickiewiczem

Wtedy, gdy po Paryżu z chłodnymi oczyma Człowiek w todzie wędrowniej, sandałach pielgrzyma chodził marząc, by dożyć kiedyś tej pociechy, by w ojeździe dalekiej zbłądził pod strzechy książki tęsknoty wielkiej pełne i miłości, pisane z myślą o tych co sercem są prości, pisane tym co: „żywią i bronią” — ludowi, o którym zaściankowy szlachetka stanowił — wtedy dwór i plebania głosu nie słyszały, co jak grzmot był donośny i celny jak strzały, co poruszył sumienia szlacheckich zaścianków, wielmożów, dobrodziejów, sobie-jaśniepanków, więc między polonezem, walcem, kontredansem, ogłupiano się wzajem francuskim romansem a ten który by książkę czytał i rozumiał błędził jak ślepiec w jarzmie bo czytać nie umiał.

Dziś jego proste słowa kręcąc kołowrotek dziewczę strojne jak malwa nawija na motek młodego serca.

Dziś, w długie, ciepłe, jasne wieczory zimowe te księgi przedłużają życie o połowę tym, którzy są wrócić „na ojczyznę łono” którym ojczyzna nie jest już gorzką i słoną —

Wszędzie tam gdzie są ludzie prości jak te słowa, gdzie przelewa się miodem nasza polska mowa, zbłądziły te zwrotki z pól i lasów rwane, pachnące macierzanką, rutą i burzanem. Więc trzeba było czekać aż tylu lat twardych, przeżyć czas poniżenia, grozy i pogardy nam wierzącym niezłomnie w Two słowa Człowieku, nim stałeś się symbolem nowej ery, wieku nowego w naszych dziejach, w którym Naród cały przemówił pełnym głosem. Ustom co milczały pozwolił czytać księgi...



W poszukiwaniu rodowodu

W ostatnich latach ukazało się sporo książek poświęconych „pradziom” Łodzi przemysłowej, w czym niemała zasługa oficyny wydawniczej pieczętującej się skromnymi, choć dobrze znanymi czytelnikom, inicjałami „WL”, która wzięta na siebie podstawowy ciężar publikowania Łódzianów. Przybywa ich więc nieustannie, chociaż w porównaniu z liczbą ukazujących się równocześnie w Warszawie czy Cracovie, dorobek nasz nie jest jeszcze imponujący. Z czasem jednak, ten niedostatek chyba doceniany, wysiłek Wydawnictwa Łódzkiego da rezultaty społeczne o wielkim znaczeniu. Wbrew pozorom, Łódziana zaspokajają nie tylko rosnące zapotrzebowanie patriotyzmu lokalnego. Mają one znaczenie przede wszystkim pozaregionalne, gdyż uczą szacunku do miasta, mającego najczęściej opinię sierotki bez antenatów; a ucząc przyczyniają się do rozbijania szkodliwych mitów o Łodzi, które, choć zapożyczone z odległych epok, przenoszone są chętnie w sposób mechaniczny na czasy najnowsze.

Szczupłość dorobku w dziedzinie Łódzianów (choć nie jest to szczupłość bynajmniej tak drastyczna, jak można by mniemać z wypowiedzi głoszących bezkrytycznie przy różnych okazjach) rodzi konieczność szybkiego wypełnienia najbardziej rażących braków. Stąd zapotrzebowanie na książki dające możliwie pełny obraz różnorodności stron łódzkiego życia kulturalnego, społecznego, gospodarczego. Przypomnijmy, że jak dotąd, mamy tylko jedną popularną historię Łodzi od powstania miasta do roku 1860, a więc dalece niepełną, a co gorsza nie wolną od błędów (H. Dinter: „Dzieje wielkiej kariery”). Paradoksalne jest także to, że nie ma do tej pory monografii dwudziestolecia międzywojennego Łodzi. Dyktuje to konieczność stworzenia w polityce wydawniczej priorytetu dla dzieł ważkich, centralnych jak też znalezienia bodźców do znaczącego niż dotychczas zainteresowania naukowców łódzką tematyką.

Istniejąca aktualnie sytuacja sprawia, że witając z sympatią każdą publikację poświęconą Łodzi, powinniśmy jednocześnie stosować podwyższone kryteria społecznej przydatności, gdyż jakikolwiek błąd, choćby głoszony w dobrej wierze, nieprędko będzie miał szanse sprostowania w innych, starannie opracowanych wydawnictwach. Ale są, istnieją, czego najlepszym przykładem wydane ostatnio nakładem łódzkiej oficyny książki Heleny Duninówny* i Jerzego Urbankiewicza**).

Helena Duninówna znana jest dobrze czytelnikom jako autorka bardzo popularnych, zwłaszcza wśród młodzieży szkolnej, „Gawęd o dawnej Łodzi”. Otrzymujemy obecnie, pod zmienionym tytułem i znacznie rozszerzone, wznowienie tej wyczerpanej od dawna i poszukiwanej publikacji, która przyniosła autorce zasłużony sukces sądząc choćby po ilości recenzji i wyrażonych tam opiniach. Źródło tego sukcesu pierwszego wydania książki widziałbym nie tylko w skrzętnym uporządkowaniu przez autorkę niemałego materiału faktograficznego, rzetelnie przeprowadzonej przez nią dokumentacji i czystości kompozycyjnej „Gawęd”, ale przede wszystkim w kulturze literackiej Duninówny i wielkim jej talencie plastycznym, a tym samym niezwykle wyrazistego ukazania kolorytu miasta, co sprawia, że wszystkie szczegóły żyją, są aktywne i zapadają w pamięć. Subtelna archaizacja języka w połączeniu z celnym, a przecież jednocześnie jakże bogatym doborem faktów, złożyły się na klimat tej książki, pełnej ciepła i sympatii dla miasta kominów. Duninówna operuje szeroką skalą historyczną. Przetwarza i popularyzuje legendy związane z nazwą Łodzi starając się jednocześnie przedstawić dociekania naukowców poszukujących genezy tego miana, kreśli sugestywny obraz miasteczka puszcząńskiego w wieku XVI, przypomina wybitnych jego przedstawicieli, którzy już wówczas zapisali się w annałach polskiej kultury, przedstawia kłeski, które spadły na Łódź w wieku XVII, ażeby wreszcie, zamykając część „Z dalekiej przeszłości”, ukazać w pełnym blasku wiek XIX, który zdecydował o dzisiejszym znaczeniu miasta. Powiada ona w zakończeniu książki, że nawet „te śmieszne życiowe drobniadki, oświetlające nam zwykły bieg powszedniego dnia, powszedniego człowieka — mają również swoje znaczenie, gdy chodzi o wciągnięcie w płuća pachnącego dawnym obyczajem oddechu przeszłości”, ale wyraźnie nie docenia swej realizacji, która prz całej wielowartości i wielotematyczności, nie tylko daje obraz miasta, lecz co ważniejsze czyni je rzeczywistym i jedynym bohaterem książki. Nowe wydanie zyskuje jeszcze na ocenie, gdyż przynosi dodatkowe karty z łódzkiego życia przed stułciem, głównie obyczajowe. Znajdziemy więc łódzki karnawał, którego wyraźnie brakowało w pejzażu miasta, nakreślonym w pierwszym wydaniu gawęd. Warto dodać, że obecne wydanie zaopatrzone w wykintne, choć przecież proste, rysunki Wacława Kondka stanowiące integralną całość z gawędami.

Stanowi to dodatkową atrakcję książki.

Szkice Jerzego Urbankiewicza pod niezbyt adekwatnym tytułem „Za płotem Paradyżu” utrzymywane są także w konwencji gawęd. Czasem jednak autora ponosi publicystyczna niecierpliwość, co (samo w sobie cenne, gdyż podnoszące temperaturę refleksji o sprawach zdawałoby się dawno już przebrzmiałych), odbija się niekiedy na kompozycji rozdziałów. Urbankiewicz potrafi interesująco opowiadać o rzeczach z pozoru tak nieatrakcyjnych jak historia łódzkiej komunikacji, dzieje gazowni i elektrowni, szpitalnictwa itp. podbudowując fakty barwną anegdotą. Porusza się po tych obszarach tematycznych zupełnie swobodnie, zgłębił solidnie faktografię nie ograniczając się do zapisów archiwalnych, gdyż często operuje informacjami z pierwszej ręki od bezpośrednich świadków przedstawionych w książce zdarzeń. Pod względem zakresu tych informacji publikacja Urbankiewicza zbliża się do łódzkiego baedekera, którego brak odczuwaliśmy już od dawna. Myślę też, że książka Urbankiewicza na jakiś czas tę potrzebę społeczną zaspokoi.

Generalnie rzecz biorąc Urbankiewicz lepiej radzi sobie ze szkicowaniem dzieł instytucji niż z materiałami biograficznymi, nie zawsze bowiem panuje nad wyborem sylwetek. Poświęca niewiele uwagi tym ludziom, o których udało mu się zebrać najwięcej informacji, chociaż właściwsza byłaby tu encyklopedyczna metoda selekcji — tym więcej miejsca, im większe zasługi. Uwaga ta odnosi się szczególnie do rozdziału „Ojcowie miasta”, gdzie te „kłopoty bogactwa” wystąpiły najsilniej (tak np. w porównaniu z innymi sternikami nawy miejskiej zbyt wiele chyba miejsca poświęcił Urbankiewicz odrzucającemu sługusowi caratu jakim był prezydent Piekowski).

Na zakończenie tych rozważań jeszcze jedna uwaga: w interesującym rozdziale o dziejach łódzkiej palestry autor przyjął zbyt ryzykowną w moim przekonaniu metodę charakteryzowania wybitnego obrońcy politycznego, Piotra Kona, przy pomocy „pieprzonych anegdot”. To prawda, że są one barwne, ale w tym akurat wypadku raczej zaciemniają sylwetkę Kona, niż informują o nim.

Mimo zasygnalizowanych tu braków publikacja Urbankiewicza należy do książek bardzo czytelnich. Sądzę też, że podobnie jak książka Duninówny, znajdzie sobie drogę do czytelnika.

* Helena Duninówna: „Kwiaty wśród dymów”, Wydawnictwo Łódzkie, 1969, str. 281, cena zł 16.

** Jerzy Urbankiewicz: „Za płotem Paradyżu”, Wydawnictwo Łódzkie, 1969, str. 260, cena zł 15.



JERZY WILMAŃSKI

DWIE KSIĄŻKI DLA MŁODZIEŻY

Nakładem Wydawnictwa Łódzkiego ukazały się ostatnio dwie książki adresowane do czytelnika młodzieżowego. Są to Adama Grudy „North znaczy północ” i Edwarda Kopczyńskiego „Ślady na śniegu”.

„North” znaczy północ, ale w książce Grudy oznacza także żaglówkę, którą bohaterowie... powieści Olek, Zbyszek i Gruby buszują po jeziorach mazurskich. Jest to więc bezpretensjonalna wakacyjna przygoda — a raczej spiętrzenie szeregu przygód. Akcja posuwa się wartko — jak żaglówka po powierzchni jeziora — zdarzenie goni zdarzenie. Chłopcy mają wyjątkowo powiesciowe szczęście do przygód — ledwo uratują zatrutych grzybami turystów, a już zaczepia ich agresywny pijak... W sumie jednak czytelnik się tę książkę z zainteresowaniem, choć po lawinie drobnych zdarzeń nie następuje tu żadna kulminacyjna Wielka Przygoda — taka, którą można pamiętać całe życie. Ot — taka sobie ciekawa włóczęga, w czasie której bohaterowie poznają wielu ludzi i ocierają się o wiele spraw.

Wydaje się, że w założeniu autora fakt wakacji na jeziorach z własną żaglówką był wystarczającą atrakcją, aby jeszcze podpiąć go Wielką Przygodą. Jest to oczywiście założenie życiowo logiczne, ale literatura przygodowa — zwłaszcza dla młodzieży — ma swoje prawa. Tej bezpretensjonalnej, sympatycznej i przecież ciekawej książeczce na pewno przydałyby rumieńców jakaś sensacyjna intryga. Niestety, nie zastępują jej fachowe i egzotyczne terminy żeglarskie jak bezan, hals, bukspryt czy kapok...

Mimo tych uwag książka warta jest polecenia młodym czytelnikom. Świat ma zurskich jezior, jachtów i żeglarzy jest w końcu dostatecznie atrakcyjny i egzotyczny dla potencjalnych młodych czytelników.

Drugą młodzieżową pozycją Wydawnictwa Łódzkiego jest powieść Edwarda Kopczyńskiego pt. „Ślady na śniegu”. Także w wypadku tej książki jej autor nie wyszedł poza schemat „przygody wakacyjnej”. W

przeciwieństwie jednak do powieści Adama Grudy rzecz dzieje się w czasie ferii zimowych w leśniczówce i zapoznaje młodego czytelnika z rytuałem zabijania zwierząt dla sportu, czyli z myśliwstwem. Autor jest zapewne sam namiętym myśliwym, bo pisze o tych sprawach ze znawstwem i znajomością rzeczy — mam wszelako wątpliwości czy zasadniczą osnową książki dla młodzieży musi być akurat ten temat.

Mamy więc w książce Kopczyńskiego ranne dziki uciekające po zbroczonym krwią śniegu, mamy plastyczne opisy jak to „lis fiknął kozła przez łąkę i zniechęcił rdzawą plamą na śniegu” — mamy nagłoni i zające przed tyralierą myśliwych... Oczywiście trudno mieć cokolwiek przeciwko samemu łowiectwu. Wiele stron ambitnej prozy powstało także w wyniku brodzenia po lesie z nabłą strzelbą. Ale zarówno strzelanie do zwierząt traktowane jako sport jak i literaturę na ten temat — zachowajmy raczej dla dorosłych. Nie wydaje mi się bowiem celowe dokładne wprowadzanie w te sprawy dwunastoletnich chłopców.

Książka Kopczyńskiego w swej warstwie konstrukcyjnej i narracyjnej posiada te same zalety i wady co książka Grudy. Napisana jest gładko i potocznie — ale także i tu brak kulminacyjnej Wielkiej Przygody. Gorzej jednak, że osnową powieści są sprawy, których przydatność poznawcza jest dla młodego czytelnika, co najmniej problematyczna. Można bowiem uznać, że glarskiego — świat myśliwych nie wnosi do młodych umysłów żadnych istotnych wartości.

Adam Gruda „North znaczy północ” Wyd. Łódzkie 1969.

Edward Kopczyński „Ślady na śniegu” Wyd. Łódzkie 1969.



MULUNGUWA
ZNACZY SAMOTNY

Książkę tę napisało dwóch ludzi, z których jeden ma białą skórę, a drugi czarną i których miło tak „oczywistych” różnic — łączy szczerą i rzetelną przyjaźń. Obaj są obywatelami tego samego kraju, z tą małą różnicą, że jeden jest potomkiem zwycięskich kolonizatorów, a drugi tubylcem należącym do jednego z najprymitywniejszych plemion, krajów od czasów

niepamiętnych zamieszkujących. Obaj musieli przebyć długą drogę, aby się spotkać z tym, że niewspółmiernie dłuższą drogę przebyć musiał człowiek czarny. Nazwisko białego człowieka brzmi Douglas Lockwood, Czarny człowiek nazywa się Waipuldanya albo Filip Roberts. Jest czystej krwi Australijczykiem z plemienia Alawów, który przeszedł plemienne wtajemniczenia, czcił Kunaipipi, Matkę Ziemię, Tęczęwego Węża, uczestnicząc w plemiennych obrzędach. Przemierzał busz z włócznią zdobywając pożywienie tak, jak czynili to jego przodkowie. Potem biały człowiek nauczył go rozbierać i składać motor, pro wadzić samochód. Czarny człowiek z plemienia Alawów, który przeszedł wszystkie plemienne wtajemniczenia został kierownikiem bulansu wożącego białych lekarzy po bezdrożach buszu. A potem oko pierwotnego tubylcy nauczyło się rozróżniać przez mikros-

kop jaja glisty, nauczyło się rozpoznawać symptomy działalności mycobacterium leprae, czyli zarazka trądu w organizmie ludzkim... Czarny człowiek z plemienia Alawów, który przeszedł przez ogień plemiennych wtajemniczeń został na koniec sanitariuszem. Zdobył zaufanie ludzi białych. Leczył swoich współziomków i zdobył ich wdzięczność i szacunek. Droga jego była bardzo długa — od włóczni z krzemieniem ostrzem do kierownicy „Fordy” i aparatu rentgenowskiego. Biali ludzie ocenili tę drogę należycie. Rozporządzeniem gubernatora terytorium północnego Australii czar-nemu człowiekowi i jego rodzinie zostało przyznane obywatelstwo kraju, na którego ziemiach plemię jego polowało od niepamiętnych czasów.

I nigdy pewnie nie dowiedzieliśmy się o długiej drodze czarnego człowieka z plemienia Ala-

wów, gdyby nie spotkał on białego dziennikarza Douglasa Lockwooda, w którym znalazł przyjaciela i któremu opowiedział swoją historię. A Douglas Lockwood spisał ją w języku angielskim wiernie, tak jak opowiedział mu ją jego czarny przyjaciel, bo — należy dodać — czarny przyjaciel nauczył się tak ze języka angielskiego. Zaiste, niewiele jest książek w literaturze światowej tak oskarżycielskich dla niektórych poczyną białego człowieka, a jednocześnie tak bezstronnych i obiektywnych. Dla mnie historia tubylcy, który z epoki kamienia łupanego, z epoki snu skończył za kierownicą ambulansu i został przez białych uznany za „zdolnego” odpowiadając za swoje czyny” nabiera w końcowej wymowie wagi wielkiego moralitetu.

A. G.

„Ja, Australijczyk” Douglas Lockwood, Iskry, Warszawa 1969, cena 20 zł.

Dalszy ciąg ze str. 1

93,5 proc. Można powiedzieć, że fabryki włókiennicze w jakimś stopniu hamują cały postęp Łodzi przemysłowej. Widać to i z tego, że jeśli w tym i przyszłym roku spodziewany przyrost produkcji całego łódzkiego przemysłu wyniesie 12 proc., to stanie się tak na skutek słabego przyrostu produkcji w przemyśle lekkim (tylko 6 proc.). Wskaźniki Łodzi przemysłowej ratują więc inne gałęzie — elektromaszynowy i chemiczny.

A czynniki ludzkie? Potwierdzają to roczniki statystyczne GUS: przeciętne zarobki w przemyśle włókienniczym są niższe niż zatrudnionych w innych gałęziach wytwarzania. W rezultacie zdecydowanej dominacji przemysłu włókienniczego, stanowiącego w swej masie główne źródło dochodu mieszkańców — przeciętne płace miesięczne od lat kształtują się w Łodzi dużo niekorzystniej niż w innych miastach. Dla porównania rok 1966: Katowice — 2701 zł, Kraków — 2345 zł, Warszawa — 2229 zł, Wrocław — 2224 zł, Poznań — 2193 zł, Łódź — 1982 zł.

Do przeobrażeń w strukturze przemysłowej miasta zmuszał także postęp techniczny, dokonywany się na świecie. Nie można produkować tony przędzy czy kilometra tkanin ciągle przy użyciu parę razy większego zatrudnienia niż to się dzieje w krajach przodujących we włókiennictwie. Nowe technologie i maszyny zapewniające kilkakrotny wzrost produkcji, wysoki standard światowy wyrobów masowego użytku, do jakiego dąży krajowe włókiennictwo — dają już i dawać będą ludziom z włókiennictwa w co raz większym zakresie przepustkę do innych przemysłów, rozwijających się dynamicznie i czekających na ludzi. Już dziś wiadomo np., że w latach 1971—75 około 12 tys. ludzi z łódzkiego przemysłu włókienniczego przejdzie do innych zakładów i branż, a przede wszystkim do przemysłu elektrotechnicznego, usług wszelkiego rodzaju itp.

Już w okresie lat 1960—65 widoczne były plusey rekonstrukcji. Gdy porównać np. przemysł włókienniczy z chemicznym okaże się że wskaźnik wartości rocznej produkcji na 1 zatrudnionego w pierwszym kształtuje się w wysokości 154, a w drugim 230.

Miasto zrywa więc z monokulturą przemysłową, ale tak prędko nie zerwie z tradycyjnym przemysłem włókienniczym. Ostatecznie „łapinikom”, śrubownikom, majstrom i w ogóle włókiennikom Łódź zawdzięcza swą wielkość w przeszłości — trzeba więc tę przeszłość uszanować.

Nie będzie to już jednak przemysł włókienniczy o klasycznym i... zacofanym charakterze. Zamierzenia władz partyjnych i gospodarczych miasta idą w tym kierunku, aby w maksymalnym stopniu rozwijały się branże wyrobów skonfekcjonowanych, a więc dziewiarskiej, odzieżowej oraz wyrobów wytwarzanych na nowoczesnych maszynach, według najnowszych technologii. Te ambicje ojców miasta są zgodne z uchwałami II plenum KC PZPR. Nie chodzi przecież o nie innego, jak o to, by szybciej i możliwie najtaniej produkować towar na światowym lub na zbliżonym do światowego poziomie. Nowoczesne przedzarki bezwzględnie, wysokowydajne krosna tkackie (m. in. bezczółkowe, hydrauliczne) produkują kilkakrotnie więcej niż stare maszyny których pełno jeszcze w łódzkich fabrykach. Takie wyroby jak włókna,

czyli wyroby nietkane, przesywane, klejone itp. można produkować z włókien nawet gorszych, ale to nie przeszkadza, że w końcowym efekcie z włókien można szyć bardzo ładną i nowoczesną odzież.

Więc ten kanon selektywnego patrzenia w przyszłość ekonomiczno-produkcyjną Łodzi może przynieść korzyści i dla rynku i dla gospodarki narodowej. Ograniczając w pewnym stopniu rozwój tzw.

urządzeń produkcyjnych dla włókiennictwa wytwarzanych przez łódzką „Wifamę”, łódzką Fabrykę Maszyn Jedwabniczych i innych producentów.

Przy całym jednak postępie w nowoczesnej technologii w przemyśle włókienniczym i szybko przyrastającej produkcji atrakcyjnych wyrobów rynkowych o partych o nowe włókna (torlen, anilana, polinosic itp.) przy coraz lepszym nasycaeniu rynku i zaspokajaniu potrzeb ekspor-

go w produkcji całego łódzkiego przemysłu spadnie w tym samym roku do 47 procent.

Start, jaki uczyniło miasto w dziele rekonstrukcji i modernizacji gospodarki, nowe zakłady, które będą w najbliższych latach zbudowane — nowoczesne tkalnie ZPW im. Bardowskiego nowy zakład produkcji dzianiny „Olimpia”, nowe obiekty dla Łódzkiej Fabryki Zegarów, Zakładów Mechanicznych im. Strzelczyka, Ł. Zakładów Radiowych, Zakładów Kserotechnicznych, czy nowa, budująca się fabryka-gigant o produkcji 17 mln par obuwia gumowego rocznie — harmonizuje z dalszym rozwojem placówek naukowo-badawczych. Nowe gmachy, umożliwiające swym wyposażeniem laboratoryjno-naukowym bardziej sprawne zaspokajanie potrzeb przemysłu i coraz śmielsze sięganie po koncepcje techniczne przyszłości otrzymają wkrótce Instytut Włókiennictwa, Techniki Ciepłej i Przemysłu Gumowego, rozbudowany zostanie Instytut Włókien Sztucznych i Syntetycznych, nową bazę otrzymają centralne laboratoria przemysłu wełnianego, jedwabniczego i dziewiarskiego oraz Centralne Biuro Techniczne Maszyn Papierniczych.

Istniejące już zaplecze naukowe Łodzi (6 wyższych uczelni z nowymi, nieraz unikalnymi wydziałami, jak np. Wydziały: Chemii Spożywczej i Włókienniczy Politechniki Łódzkiej) oraz instytuty naukowo-badawcze (jest ich 24) sprzyjają dziełu przebudowy gospodarki i samego miasta.

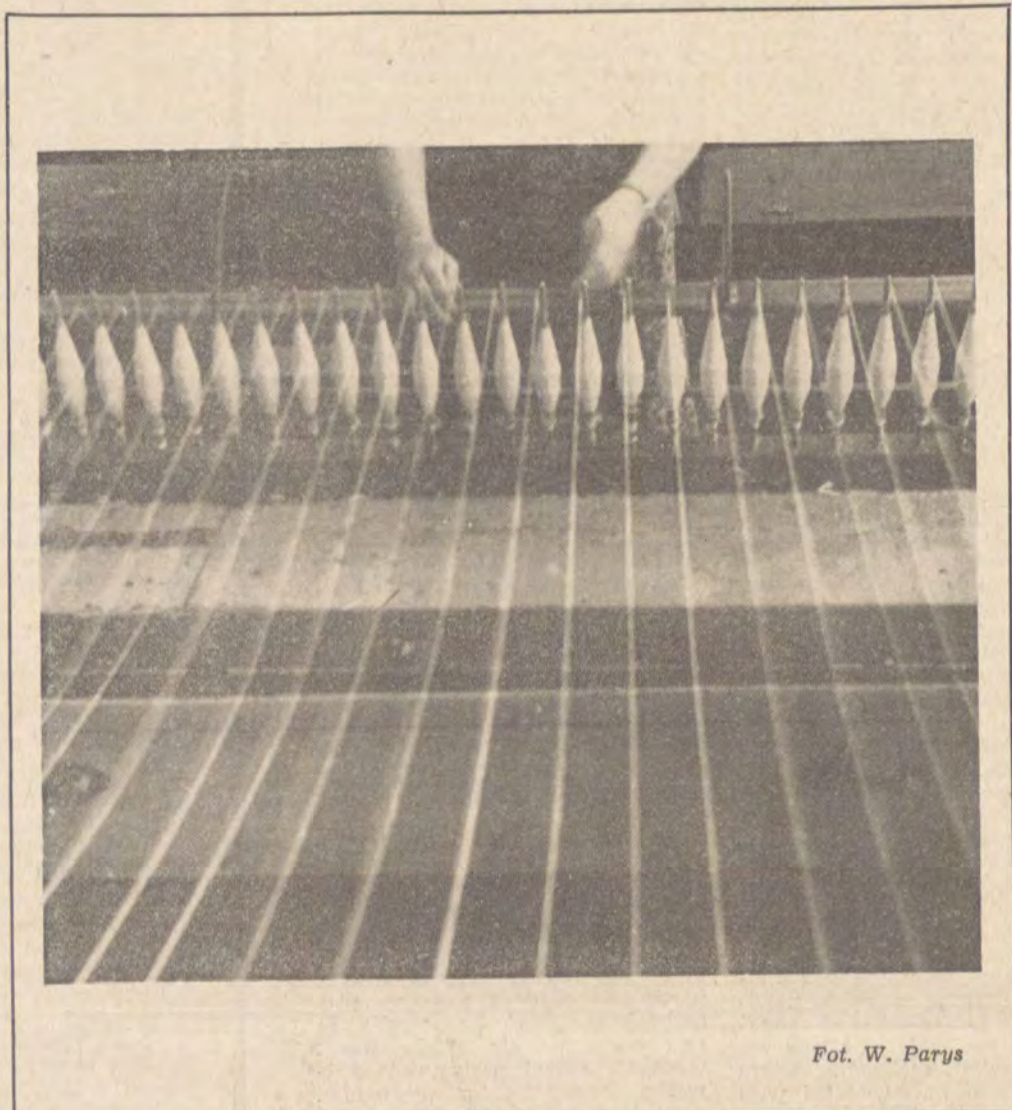
Bo nie zapomniano w Łodzi i o zwykłych, czysto ludzkich ambicjach, o codziennych potrzebach mieszkańców. Na równą skalę urzeczywistnia się tutaj także rekonstrukcja i modernizacja miasta i jego urządzeń. Wystarczy powiedzieć, że po ostatniej wojnie wybudowano tu niemal tyle samo izb (230 tys.) ile... od początku istnienia Łodzi przemysłowej wzniesli ich wszyscy poprzedni burmistrzowie i prezydenci, a więc od lat blisko 150.

Jest zamierzeniem łódzkiego przemysłu, aby w najbliższych latach wyjść w świat z nowymi transformatorami i agregatami elektrycznymi dla lokomotyw („Elta”), z nowymi gramofonami według licencji Telefunken (Łódzkie Zakłady Radiowe), nowymi układami hamulcowymi (Fabryka Osprzętu Samochodowego) i nowoczesnymi szlifierkami („Strzelczyk”). I te zamierzenia zostaną z pewnością zrealizowane. Ale w tym mieście, przepołowionym od 150 lat ulicą Piotrkowską, jak pila, już dziś cięsz się zmieniająca się systematycznie panorama centrum, wokół którego jakby wieńcem skupiły się liczne osiedla obrzebne — Teofilów, Zabieniec i Zubardz, osiedle im. Władysława Bytomskiego, Widzew-Zachód i Widzew-Wschód, Dąbrowa, Rokicie, Karolew. W samym centrum wystrzeliło w niebo już kilkanaście wieżowców z których jeden, 16-kondygnacyjny, mieszczący obecnie siedziby łódzkich przedsiębiorstw budowlanych i wzniesiony eksperymentalną metodą monolityczną stał się już w całym kraju przykładem do naśladowania, jako bardzo funkcjonalny wieżowiec dla celów administracyjnych.

W dawnej Łodzi nigdy nie było niczego więcej poza fabrykami włókienniczymi, pałacami fabrykantów i drewnianymi przedmieściami, gdzie w lichej czynszówkach gnieździł się proletariatus. Obecnie jej przeobrażenia są więc konsekwencją historycznych niedostatków — przemysłowych, urbanistycznych i cywilizacyjnych oraz konsekwencją przemysłowego działania partii i władz miasta.

FELIKS BABOL

REKONSTRUKCJA



Fot. W. Parys

przemysłów metrażowych (tkaniny bawełniane, wełniane, jedwabne) Łódź rozwinięta znacznie produkcję dzianin wszelkiego rodzaju w nowoczesnej budowanej obecnie fabryce „Olimpia”, szlachetnych wyrobów jedwabnych stanowiących od razu produkt końcowy: firanki z włókien syntetycznych, koronki, dywany, których ciągle za mało na rynku krajowym i które są wysoko opłacalne w eksporcie.

Jest też ambicją Łodzi, aby postęp techniczny przemysłu włókienniczego odbywał się poprzez własne, wyprodukowane również w Łodzi maszyny i agregaty. Stąd tyle uwagi dla nowych konstrukcji

tu przez modne wyroby dziewiarskie z przędzy elastycznych, kędzierzawionych i niekurczliwych — produkcja przemysłu włókienniczego Łodzi w roku 1975 wzrośnie znacznie mniej niż w innych rozwijających się obecnie gałęziach. W „bawelninie” przyrost ten wyniesie 12 proc. w sto sunku do br., ale przy zmniejszonym zatrudnieniu o około 30 proc., w „wełnie” — o 43 proc., przy zatrudnieniu mniejszym o 1800 ludzi, „jedwab” — o 45 proc., „odzież” — o 46 proc. a dla porównania — w przemyśle elektromaszynowym — o 150 proc., maszyn włókienniczych — o 150 proc., elektrotechnicznym — o 130 proc. Udział przemysłu włókiennicze-

ZDZISŁAW STRZĘPEK

WROŻENIE. ale nie z fusów

Zarówno jednostki, jak i narody zawsze interesowały się swoją przyszłością. Ciekawość tego co będzie jest fascynująca. Dawniej zaspokajały ją senniki egipskie, kalendarze ze zbiorami wróżb i przepowiedni oraz inne osobliwości w rodzaju opowieści Sybilli.

W naszych czasach odwieczna ciekawość przyszłości stała się, jak tego wymaga nasz wiek nauki i techniki, dyscypliną wiedzy. Wiedzy o tendencjach

rozwojowych gospodarki ludzkiej i ludzkiej społeczności, o możliwościach nauki i techniki w perspektywie najbliższych dziesięcioleci. Przy odpowiednim podejściu metodycznym na podstawie tej wiedzy można zarysować obraz świata za lat 50.

Nauka o przewidywaniu przyszłości zwie się futurologią. Termin ten funkcjonuje już zaledwie od paru lat, ale w związku z zaskakującą karierą nowej nauki — jest on już powszechnie znany.

PROGNOZY I WIZJE

Na jednym z pierwszych międzynarodowych spotkań poświęconych dociekanom prognostycznym, które miało miejsce w Londynie w 1962 roku, światowej sławy biolog i myśliciel J. Huxley (brat słynnego pisarza), stwierdził: „Jeżeli nie uda się nam kontrolować systemu gospodarczego, wyczerpiemy nasze źródła. Jeżeli nie uda nam się zahamować eksplozji ludnościowej — zniszczymy naszą ojczyznę i naszą kulturę. Jeżeli nie uda nam się zapobiec wojnie światowej — zburzymy naszą cywilizację”.

Hipotezy, prognozy, wizje, nauka o programowaniu, planowanie przyszłości, nauka o nauce — oto określenia, które najczęściej przewijają się w pismach poświęconych nauce na temat przyszłości. Jednym z pierwszych czasopism specjalnie poświęconych tej problematyce było „The Futurist”, założone w USA dwa lata temu. Jak wynika z donie-

sień tego pisma na świecie działa już cały szereg placówek naukowo-badawczych zajmujących się futurologią w różnych dziedzinach życia. W USA działa już ich 15. Powstało też światowe towarzystwo futurologów — „The World Future Society”.

Polska nie zwlekała długo. W kwietniu br. Prezydium PAN powołało Komitet Badań i Prognoz „Polska — 2000”. Na potrzeby takich badań wskazywano na V Zjeździe PZPR i na II Plenum KC, które wytyczało nową drogę rozwoju naszej gospodarki — selektywną i intensywną.

Tu podkreślić warto, że cała teoria gospodarczego i społecznego rozwoju ludzkości opracowana naukowo przez Marksa — należy do dużej mierze do tej dyscypliny, do nauki o przyszłości. Marks, badając swoją współczesność przy pomocy metody dialektycznej, wskazywał kierunki dalszego procesu społecznego i naukowego

zasadził nadejście ustroju socjalistycznego.

Właśnie ta metoda — materializmu dialektycznego i materializmu historycznego — dać może w przewidywaniu przyszłości najlepsze wyniki. W badaniach zastosowana w pełni być może przede wszystkim przez naukowców w krajach socjalistycznych i dlatego nie możemy się oglądać na opracowania zachodnie. Nasze praktyczne działania możemy opierać tylko na programie wynikłym z naszej wizji przyszłości, z naszych prognoz. Futurologia ma służyć przede wszystkim kształtowaniu naszej przyszłości, jej programowaniu.

CEZURA — ROK 2000

Ostatnio redakcja zagraniczna PAP wydała opracowanie futurologów francuskich zatytułowane „Rok 2000”. Ale materiał zawiera prognozy na temat zmian na świecie i we Francji w okresie najbliższego półwiecia.

czyli do roku 2000. Jednak przyjęło się robić cezurę z roku dwutysięcznego, jako że data to niezwykła, niejako symboliczna. Takie tytuły zresztą nosiły już słynne prace p. F. Bada — „Rok 2000 — Ku czemu zmierzają świat?”, czy C. A. Daxiadis — „Jak będzie żyli w roku 2000?”

We Francji kilka zespołów zajmuje się prognozami. Wymienione opracowanie pochodzi od grupy naukowców zwanej „The Futuribles”, właśnie z angielskiego, gdyż zespół finansowany jest przez fundację Forda. Jego cele to analiza alternatywnych możliwości rozwoju świata w ciągu najbliższych 50 lat. Ale zagadnienie przyszłości jest co najmniej tak szerokie, jak teraźniejszość, zespół więc sukcesywnie bada różne dziedziny życia społecznego i gospodarki. PAP zebrała analizy dotyczące energetyki, następnego półwiecia, przemian w rolnictwie i w korzystaniu przestrzeni wiejskiej.

Tego wieczoru niewiele mówiliśmy o historii. Znamy z dumą pokazywali mi za kamarki. swego nowego mieszkanca, gawędziliśmy o polityce i zbliżających się wyborach prezydenckich, no i o uroczach tego białego wina, serwowanego przez gospodarza, który ani na chwilę nie przestawał przekonywać mnie do kandydatury Pompidou. Dopiero po kolacji przeszliśmy na nasze sprawy historyczne, jako że oboje gospodarze i ja — ich polski gość — jesteśmy jak się to powiada praktykują-

którą oni mogą łatwo znaleźć, a nie taką, którą zobaczyć można tylko u was. Wiemy oboj dostojnie, że o waszych dziejach pisali i piszą Niemcy. Oni potrafią rozpowszechniać to wszystko, co o was piszą...

Francuski kolega ma przecież rację. Nie potrafiliśmy dotąd wyjść na świat z naszą historiografią, nie czytamy tak jak to robią Węgrzy, Czesi, Rumuni, którzy wiele ze swoich ważnych naukowych publikacji z dziejów historii drukują u siebie po niemiecku, fran-

poliska, nauka historyczna jest interesująca, ba — znać co najmniej jednego polskiego historyka osobiście — ale książek polskich nie czytał, podczas kiedy znał dobrze prace historyków z innych krajów naszego obszaru, wydawane w dostępnych mu językach. Nie ludźmy się: tylko nadzwyczajne okoliczności skłoniły mieszkańca Paryża czy Londynu do tego, aby nauczył się języka polskiego; bardziej potrzebny jest mu i będzie rosyjski. Trzeba z tym faktem się liczyć.

Skąd obcy historyk ma się dowiedzieć o naszym dziejopisarstwie i naszych dziejach? Z rozmów czy nielicznych polskich naukowych publikacji, ogłaszanych w tzw. „językach kongresowych”, które przecież istnieją? To mu nie wystarczy. Śiega więc — chcąc nie chcąc — do tego źródła, informacji, które samo pcha mu się do rąk. Jakiego? A choćby do sprawozdań z historiografii polskiej drukowanych na łamach „Historische Zeitschrift”, jeżeli nie do „Zeitschrift für Ostforschung”, gdzie jest odnotowana każda polska publikacja — naukowa, publicystyczna czy nawet literacka — dotycząca przeszłości i teraźniejszości Ziemi Odzyskanych czy stosunków polsko-niemieckich, lub do publikacji oświatowego Instytutu Herdera, do... Nie myślę tu wyliczać wszystkich zachodnoniemieckich „Zeitschriftów”, biuletynów i innych „polskoznawczych” publikacji. Nasz brak operatywności przyczynia się do tego, że dla wielu ludzi na Zachodzie interesujących się dziejami Polski czy tylko jakimś epizodem naszej przeszłości stają się one jedynymi niemal informatorami o naszych przeciętne sprawach. Jakimi — o tym my wiemy zbyt dobrze. Czytając właśnie niedawno zachodnoniemiecki artykuł o publikowanym w monachijskim czasopiśmie „Osiedlungs- und Wissenschaft” o „illegale Kampf” w czasie ostatniej wojny. Wicie o czym to było? — No — o „nielegalnej walce” — czyli po prostu ruchu oporu. Taka „naukowa” terminologia mówi sama za siebie: nazwa zawiera już ocenę. Niby więc „walka legalna” — to oni, Wehrmacht, Gestapo, łapanki na ulicach, obozy śmierci i plakaty obwieszczone zamordowanie tylko to a tylko „polnische banditen” walka nielegalna to my — to partyzantka, dywersja i wszystkie inne formy zbrojnego oporu narodu. Ładnie i jasno...

JOZEF GRZELAK

Historyczny eksport

cymi historykami. Pan do mu został niedawno mianowany wykładowcą w jednej z filii uniwersytetu paryskiego, a ponieważ nie prowadził dotąd żadnych wykładów, musiał na jakiś czas pożegnać się z pracą badawczą, aby podjąć nowym profesorskim obowiązkiem. Rozpoczął właśnie wykłady o przemianach społeczno-gospodarczych Europy w progu czasów nowożytnych i bardzo by pragnął włączyć do tych rozważań także i problematykę polską.

— Jest to w praktyce niemożliwe — mówi — bo jeżeli to poważna literatura historyczna o naszych dziejach jest dostępna w którymś z bardziej „ludzkich” języków? Cóż ja mam polecać moim studentom? Bardzo popularny zarys historii Polski z serii „Que sais-je”, pełen nieścisłości, czy może książkę Haleckiego, która nie wiecie czemu bywa przez niektórych historyków ponoć czasem u was traktowana poważnie? Niezmierzona tradycjonalna dwutomowa historia Polski wydana przed laty w Anglii już dawno przestała być aktualna pod względem naukowym. Te broszurki, drukowane u was z przeznaczeniem dla zagranicy — daruje Pan — to dla tych celów, o jakie mnie chodzi, nie ma najmniejszego znaczenia. Mówi Pan — wysła ponoć u was dobra historia Polski po angielsku w jednym tomie. To niewiele, ale dobre byłoby i to. Kto jednak ją uidał i gdzie? Ja muszę zalecać studentom książkę,

cusku, angielsku czy rosyjsku i rozpowszechniają po świecie. Przyznajmy się: jeżeli mamy jakie pojęcie o historiografii węgierskiej, to właśnie dzięki temu, bo po węgiersku czytać rzadko kto potrafi... Dobrze więc się stało, że wybitny warszawski historyk profesor Andrzej Wyczanski z Instytutu Historii PAN, podniósł problem na łamach „Polityki” (Nr 44, 1969) w szkicu „Jak eksportować historię”. Jego spostrzeżenia i propozycje godne są bliźszego rozważenia. Jest to bowiem sprawa, z którą styka się bezpośrednio każdy historyk polski, kiedy spotka się z zagranicznymi kolegami z krajów, gdzie nie czytają po polsku. Trzeba wreszcie spojrzeć prawdzie w oczy: mamy poważne, liczące się w świecie naukowe osiągnięcia w dziedzinie historii. Historiografia nasza nie musi się obawiać konfrontacji z przodującym dziejopisarstwem innych krajów, nawet takich jak Anglia czy Francja, ale znana jest u nich zwykle tylko ze słyszenia, z osobistych kontaktów, referatów i innych „eksportowych” wystąpień naszych historyków, a nie z ich podstawowych dzieł. Potwierdzi to każdy historyk polski, który choć raz był na Zachodzie, na Wschodzie a częściowo i na Południu, gdzie bariera językowa nie jest tak wielka czytają nas, tak samo jak my czytamy prace naszych rosyjskich, ukraińskich, czeskich czy słowackich kolegów. Co drugi historyk francuski wie, że



Piotr Barącz

Formy

POLONICA

BRATNY I KRASIŃSKI PO FRANCUSKU

Ogromnym zainteresowaniem cieszy się we Francji, opublikowana przez największe wydawnictwo tamtejsze, firmę „Gallimard”, w przekładzie Leo na Oustry'ego powieść R. Bratnego „Kolumbowie rocznik 20” (francuski tytuł: „Avoir vingt ans à Varsovie”, 427 stron, 28 franków). Recenzent dziennika „Le Monde”, Stanislas Kocik, poświęcił tej książce ciekawy artykuł w numerze z 11. X. 1969 (str. 3). Recenzent ten zaczyna od omówienia historycznego tła tej powieści. „Równocześnie z insurrekcją paryską powstanie warszawskie 1944 roku stanowi jedną z najślawniejszych ale i najtragiczniejszych stron historii drugiej wojny światowej, a także — i całej polskiej historii. Rozpoczęte 1 sierpnia 1944, trwało aż do 2 października tego roku, czyli — 63 dni; choć brakowało im broni, amunicji i żywności, i chociaż hitlerowcy użyli czołgów, artylerii oraz lotnictwa, warszawscy powstańcy trzymali się dłużej, niż regularna armia polska we wrześniu 1939, czy siły alianckie w 1940. Zginęło 200.000 osób, wśród nich młodzi poeci: Krzysztof Kamili Baczyński, Tadeusz Gałczyński i Zdzisław Stroiński. Po stłumieniu powstania, Hitler postanowił unicestwić miasto (...). O tej heroicznym walce, prowadzonej przez męczeńskie miasto,

przeciw hitlerowcom, mówi wstrząsająca powieść Romana Bratnego”.

Recenzent „Le Monde” charakteryzuje następnie autora: „Urodzony w 1921 roku w Krakowie... jest pisarzem solidnym i pracowitym. Brał udział w warszawskim powstaniu. Ze wszystkich jego dzieł „Kolumbowie” odniósł największy sukces u krytyków i publiczności. Skondensowany, o szybkim rytmie i stylu wibrującym, ten obszerny utwór jest napisany w taki sposób, że fikcja szczęśliwie się tu łączy z autentycznością żywego świadectwa i wskazuje nie tylko heroizm powstańców warszawskich 1944 roku lecz także atmosferę śmierci, krwi, tortur, cierpień i ułasku doznawanych przez Polskę okupowaną (...). Można je dnie żałować, że autor pomija analizę psychologiczną, interesując się tylko akcją, faktami i dialogiem”. „Kolumbowie” — mówi dalej francuski recenzent — „sa książką przykuwającą uwagę, nie raz fascynująca. Trzeba ją przeczytać, nie tylko z tego powodu, że odzwierciedla jedną z największych tragedii nowoczesnych, ale i dlatego, by zrozumieć z jakich powodów Polacy nie chcą i nie mogą zapomnieć „tej nocy bardziej niż inne czarnej i upiornej” (A. Breton).

We Francji ukaże się również jedna z najciekawszych sztuk Janusza Krasińskiego „Czapa, czyli śmierć na raty”. Znalazła się ona w repertuarze, przewidzianym przez jeden z teatrów i będzie opublikowana. Inne sztuki autora „Filipa z prawdą w o-

czach” również znalazły zagraniczne echa; i to w wielu krajach. Ta ostatnia sztuka cieszyła się, jak wiadomo, dużym powodzeniem w Krakowie. Trudno zrozumieć, dlaczego nie grają jej łódzkie teatry. W.N.

„LITERATURA POLSKA W ŚWIECIE”

Paryski dziennik „Le Figaro”, z 5. X. 1969 roku, przynosi obszerną i bardzo pozytywną notatkę o wystawie „Literatura polska na świecie”, otwartej poprzedniego dnia, a zorganizowanej w paryskim „Centre de la Librairie” przez Syndicat National des Editeurs Français oraz Polską Agencję Autorską (dyrektor: Michał Rusinek). Wystawa obejmuje 1300 polskich dzieł literackich, w przekładzie na liczne języki. Wywołała ona duże zainteresowanie. „Figaro” pisze, że niewątpliwie przyczyni się ona do spopularyzowania polskiej literatury, godnej jeszcze, lepszego zglebienia przez francuskich czytelników. Frekwencja zwiedzających jest ogromna.



ŁUDZIE TEATRU

Nakładem monachijskiego wydawnictwa „R. Piper” ukazała się już po raz drugi, znacznie jednak zmieniona, książka felietonów Marianny Kesting pt. „Panorama des zeitgenössischen Theaters” (Panorama współczesnego teatru). Publikacja składa się z cyklu szkiców o dramaturgach współczesnych, których twórczość wywarła wpływ na zmiany w teatrze. Kesting z autorów polskich uwzględniła w swojej książce dramaturgię Stanisława Ignacego Witkiewicza, Witolda Gombrowicza i in. Pierwsze wydanie książki (z r. 1962) pomijało całkowicie twórczość pisarzy polskich.

Przekomponowanie „Panoramy” wzbogaciło więc książkę o nowe nazwiska, bez których trudno sobie wyobrazić awangardowy ruch teatralny.

K.F.

POLONICA

str. 9

Od czasów Malthusa wie lu ekonomistów i socjologów niezmiennie frapuje szybkie tempo przyrostu gatunku homo sapiens. W ciągu ostatniego półwiecza (1920—60) ludzkość uległa podwojeniu. I to mimo wielkiej, światowej wojny. Jest nas obecnie ponad 3,5 miliarda. Za następne 50 lat, przyjmując, iż przyrost zmaleje, na globe będzie żyło zapewne ponad 8 mld ludzi. Przy czym w krajach zafowanych gospodarczo przyrost będzie 2—2,5 raza większy, co nie ułatwi rozwiązania problemu ubóstwa i długo jeszcze — nawet głodu. Obecnie 30 proc. ludzkości nie dojada. Miliony osób z tego powodu umierają.

Inna dolegliwość, to brak mieszkań, zagęszczenie ludności, warunki życia typu slumsy. Z tym problemem nie mogą dać sobie rady na wet kraje rozwinięte, w których deficyt szacuje się na 30 mln. mieszkań. W świecie „B” potrzeby wynoszą 150 mln. mieszkań. Nato-

miast badania trendu urbanizacji wskazują, iż już w roku 2000 (wbrew podświadomemu poczuciu jest to data bliska, zostaje tylko 30 lat) — w miastach żyć będzie 80 proc. społeczeństw krajów uprzemysłowionych. Powstana problemy, którym już trzeba wychodzić na przeciw. Zbytnie zagęszczenie np. w Europie północnej prowadzić będzie do migracji na południe.

Trzeba też szybko przygotować odpowiedź na pytanie jakie tworzyć miasta. Są 3 koncepcje: wieżowce (architektura pokazuje np. ma kiety domów w kształcie drzewa wysokości... 850 pięter), superurbanizacja (niska zabudowa na kolosalnych przestrzeniach, pociętych autostradami), oraz system mieszański — wysokie centrum otoczone morzem niskich domków.

W każdym przypadku do gigantycznych rozmiarów urasta problem komunikacji i uzbrojenia terenu. Już obecnie komunikacja indywidualna zakorkowała mia-

sta i zatrzała je. A „za trzydzieści parę lat” ludzi będzie dwa razy więcej i przy tym będą mieć o wiele więcej czasu wolnego. Presja społeczna powoduje bowiem stale zmniejszanie się czasu pracy. Za trzydzieści lat zmniejszy się on o około 30 proc., a za 50 lat o połowę. Stąd inny będzie styl życia, a zwłaszcza o wiele większa ruchliwość ludzi.

Wskazują na to także prognozy budżetu konsumpcji indywidualnej. Zdecydowanie zmniejszy się procent wydatków na żywność i odcież, natomiast wyraźny wzrost będzie dotyczył podróży, rozrywek, higieny i zdrowia oraz mieszkania.

SMUTEK CZY RADOŚĆ?

Badając sprawy rozwoju energetyki w następnym półwieczu, futurologzy francuscy doszli do przekonania, że nadal znaczna jej część pochodzić będzie z węglowodorów (ropa naftowa, węgiel). Stopniowo wejdzie, a następnie przeważą jednak

energia jądrowa, której zasoby są wręcz nieskończone. Przyszłe pokolenia nie będą cierpieć na niedobór energii, tym bardziej, że technika rozwija się w kierunku stopniowego zmniejszenia poboru energii.

Co francuscy futurologzy myślą o przyszłości jednego z trzech głównych działów ludzkiej gospodarki — rolnictwa? (Pozostałe to przemysł i usługi). Na podstawie zachodzących procesów przewidują, iż średnia wielkość gospodarstwa zbożowego wzrośnie do ponad 2000 ha, hodowlanego — do ponad 100 szt. bydła, sadowni czego — do ponad 50 ha. Jednocześnie 2—3 razy zmniejszy się liczba zatrudnionych w rolnictwie. Rolnictwo będzie mogło angażować specjalistów wysokiej klasy z różnych dziedzin, stosować maszyny w dużych ilościach, a także niezwoźnić nie wdrażać osiągnięcia nauki, zwłaszcza chemii i biologii.

Z drugiej strony przemysł będzie produkował wiele

substancji żywnościowych. Przede wszystkim dla zwierząt, które teraz zjadają 2/3 pól rolnictwa. Komputery programujące w dużych gospodarstwach zasiewy, stan wilgotności, zabiegi agrotechniczne, będą więc miały do czynienia z zupełnie innym zestawem upraw. Coraz więcej pól zajmować będą plantacje warzyw, drzew owocowych i krzewów oraz... kwiatów.

Właśnie — kwiatów! Jedni tak, optymistycznie, widzą przyszłość rodzaju ludzkiego. Inni — przeciwnie, w najczarniejszych kolorach. Sen z oczu spędza im ogromna populacja gatunku lub... postęp techniki, która daje człowiekowi moc żywiołu, mogącego zniszczyć dorobek tysięcy. Marksizm dowodzi, że jest inaczej. To właśnie ludzie decydują o wszystkim. By żyć, produkują, przekształcając świat i siebie. Gdyby nie rozdarcie klasowe, mogliby programować swoją przyszłość. Świat jest jednak podzielony i walczący.

Chcę być ptakiem... „rokendrolem”

W ciągu ostatnich miesięcy powstało w Polsce kilka nowych grup wokalo-instrumentalnych, uprawiających muzykę underground. O ile muzyka ich utworów stanowi może podziemie, o tyle teksty piosenek reprezentują nierzadko literacki grób.

Słyszałem, że ponoć w tego typu muzyce, tekst jest zupełnie niepotrzebny, a wkłada się go w usta wokalisty, tylko po to, by jego głos udoskonalił ogólne brzmienie zespołu.

Nie zapominajmy jednak, że podobny problem został już raz rozwiązany. Otóż w latach czterdziestych, w okresie królowania w jazzie stylu zwanego be-bop, okazało się, iż głos wokalisty tak wielce wzbogaca brzmienie orkiestry, że nie sposób z niego zupełnie zrezygnować. Nigdzie jednak nie znajdziemy tekstów piosenek be-bopowych, a to z tej przyczyny, że ich po prostu nie było. Wokaliści improwizowali cały szereg dźwięków mowo-naśladowczych, co w sumie dawało efekt, jakby posługiwali się nieznanym językiem.

Tak więc, skoro tylko o brzmienie chodzi, nie powinniśmy być zameczani mętными wierszami tekstów.

„Poszłabym za tobą do samego piekła, Ale za gorąco, ale jeszcze bym się spiekała” — śpiewa Mira Kubasińska na longplayu zespołu Break out. I dalej — „Poszłabym za tobą na sam koniec świata, Ale mi się nie chce za chłopcami latać”.

Kilka takich zwrotek stanowi cały tekst, który traktuje jak widać, o psychice kobiety. Najwyraźniej coś autora niepokoi, lecz trochę to tak, jak z pewnym pianistą, który twierdził, że gdy stoi wśród zaozarych pól, na horyzoncie rzędy topoli, tam gdzie wierzba płacząca, po niebie ciągną olwiane chmury, a z daleka dobiega głos dzwonu — to dusza mu śpiewa i czuje, że mógłby wtedy grać, jak nikt. Biegnie do domu, lecz gdy siada przy fortepianie, cały obraz ginie mu z oczu. W ten sposób nigdy dobrze nie zagrał. Jak twierdzi — nie było czym fortepianu w pole wywieźć.

Wróćmy do tekstu. Myślę, że twórcy, może niezbyt odkrywczą, jakąś jednak jest, lecz żeby ją wyrazić, czyż jedyną możliwością są iście częstochowskie rymy typu „piekła — spiekała”?

Nie jest to prawdopodobnie celowy prymityw. Wokaliści podają tekst nadzwyczaj serio, wręcz z powagą. I właśnie o tę powagę wszystko się rozbiła. Bo proszę sobie zanucić tekst:

„Poszłabym za tobą na rozstajne drogi, Ale za daleko, jak na moje nogi”

— na skoczną melodię ludową, np. oberka. Tak przynajmniej forma idzie za treścią. Ktoś powie — zamierzony kontrapunkt. Nie jest jednak tajemnicą, że kontrapunkt ma prawo bytu, gdy coś z niego wynika. Gdy jednak jest tylko czysto formalny, wiedzie po prostu na manowce.

Jeszcze jednym przykładem na, co tu ukrywać, głupotę tekstów, niech będzie fragment piosenki „Nie mam czasu na nic” śpiewanej przez Halinę Frąckowiak:

„Nie mam czasu na nic, Nie mam czasu żeby, Nie mam czasu aby Z tobą spotkać się”.

Gdyby te słowa potraktować jako osobistą wypowiedź autora, pomyśleć by można, że tak wiele pracuje. Cytowana zwrotka świadczy, iż to jednak nie paranie się literaturą pochłania mu tak wiele czasu.

Swoistym osiągnięciem w tej kategorii wad, wydaje się być piosenka zespołu „Klan”, kończąca się wersem:

„...chcę być ptakiem, rock and rollem”.

Od początku utworu nie wierzy się w wysokie loty tego ptaka. I rzeczywiście. Ale cóż, tak już jest. Ptaki, porównywane często do myśli ludzkiej, jedne są szybkie i zwinne, a drugie już zupełnie zapomniali o skrzydłach, zbyt zajęte własnym dziobem. Niestety, wiele rzeczy w piosence uchodzi, gdyż jest to literatura zaopatrzona w normy muzyki. Tekst uchodzi bezpowrotnie, przebieg czasowy nie pozwala niczemu przysłuchać



się dokładnie. Tak więc, gdy raptem ujrzy się gdzieś wydrukowany tekst znanej piosenki, zaskakuje jąwiącą się nagle jej niedorzeczność.

Ostatnimi czasami zapłonał prąd na wszelkiego rodzaju poszukiwania. I słusznie. Jednak tylko część autorów tekstów poszukuje ambitnie, nierzadko do czegoś dochodząc. Niestety większość, pod szyldem poszukiwania, przemycia twórcze bubble.

Odbiorcy nie śmiały reagować. Muzyka podlega modzie, a moda jest perfidna. Nigdy nie wiadomo, co stanie się przebojem sezonu; może bezsensowne teksty?

„Przychodzisz zawsze do mnie, gdy zapada zmrok, Zapalas rzekę tęczy i przerywasz noc” — powracam do Breakout.

Nie mam pretensji do tych słów za to, że są, gdy im się bliżej przyjrzyć — o niczym. Niepokoją natomiast pozory ogromnej zawartości intelektualnej i zadęcie na wielką formę.

Na szczęście istnieją jeszcze tacy ludzie, jak Osiecka czy Młynarski, którym na razie nie brakuje pomysłów, dzięki którym, nie utonielibyśmy jeszcze w powodzi kiczu.

Nikt nie oczekuje od piosenki recepty na życie, czy breku z dzieł literatury. Piosenka, już w swoim założeniu, przynależy do muzyki popularnej: nuci się ją przy gołeniu, towarzyszy ona przy pracy i odpoczynku. Słyszysz ją na ulicy i na zabawie. Jest powszednia. Jest zbyt często z nami i dlatego nie powinna denerwować.

spektakle tygodnia

TEATR WIELKI				
„Kniaź Igor”	1	1260	100	
„Così fan tutte”	1	1260	100	
„Faust”	1	1260	100	
„Cyryl i Seweryn”	1	1260	100	
„Tosca”	1	1260	100	
NOWY				
„Dziś do ciebie przyjdę nie mogę”	4	2800	100	
„Życie jest snem”	1	700	100	
NOWY				
Mała Sala				
„Szkola kobiet”	1	200	100	
„Kaprys”	3	540	90	
„Księżyc świeci nieszczęśliwym”	1	200	100	
POWSZECHNY				
„Boso, ale w ostrogach”	1	660	100	
„Płaszcz”	3	1980	100	
„Radziwiłł Panie Kochanku”	1	500	90	
„Kawior i kaszanka”	2	1200	95	
JARACZA				
„Pan Jowialski”	4	3768	98	

OBIEKTYW

„Nie wylewaj waćpan... piwa!”

Jeszcze za wcześnie na ocenę nowego serialu telewizyjnego „Przygody Pana Michała”, ale już po obejrzeniu pierwszego odcinka pt. „Brat Jerzy” cisną mi się na usta pewne uwagi, którymi muszę się podzielić z czytelnikami.

Serialowi nie wyjdzie chyba na zdrowie fakt, że poprzedził go barwny, panoramiczny i świetny warsztatowo film „Pan Wołodyjowski”. Porównania — z góry to można przewidzieć — wypadną na niekorzyść serialu. Dlatego tym dziwniejsze jest, że w niektórych partiach I odcinka serialu realizatorzy poszli wręcz na kłopotowanie filmu. Wydaje się, że Paweł Komorowski w większym stopniu adaptuje film Jerzego Hoffmana niż czerpie inwencję z samej książki Sienkiewicza.

Wymyślony przez scenarzystę (i filmu ekranowego i serialu) Jerzego Lutowskiego incydent z grasantami nabiera w „Bracie Jerzym” pierwszorzędne znaczenia. Kto wie, może gdyby nie napaść grasantów, Anusia Borzobohata Krasieńska nie umarłaby? W każdym bądź razie u Komorowskiego to przeżycie jest bezpośrednią przyczyną śmierci.

Nienaturalność tej sceny wyjściowej serialu aż kluje w oczy. Panna młoda w białej sukni i welonie jadąca samotnie z oblubieńcem i woźnicą przez leśne ostępy, dające schronienie zbójcom? Widziałem pannę młodą w welonie, jadącą na tylnym pomoście tramwaju. Ale w wypadku szlachcianki i ulubionej dwórki księżnej Wiśniowieckiej takie podróżowanie w stroju ślubnym nie wydaje mi się prawdopodobne.

Stosunek realizatorów do arcydzieła sienkiewiczowskiego wydaje mi się w ogóle pełen dezynwoltury. Spotkanie Zagłoby z Kettlingiem. Pijany szlachcizma wymyśla sympatycznemu Szkotowi od heretyków i pludrów, on mu w rewanżu podcina precyzyjnie szablą włos. Na taką scenę można by się zgodzić. Ale następuje dalszy ciąg. Drugi szlachcizma zaczyna pokrzykiwać na Kettlinga i walić pięścią w stół. Na to odzywa się siedzący z Kettlingiem młody Nowowiejski:

— Nie wylewaj waćpan piwa. Szlachcizma wpada w gniew, wali znów w stół i grozi: — Ja waści do grodu... w dyby!

Wtedy młody obryzm chwytając natręta za kark i wyrzuca za drzwi. Skąd my znamy podobną scenę? Z „Pana Wołodyjowskiego”? Nie, z „Ogniem i mieczem”. Tam to Skrzetuski upominał podstarościgo Czaplińskiego słowami: „Nie wylewaj waćpan wina”, a gdy to nie poskutkowało uciął go za kark i za hajdawery „poniżej krzyża” i wyrzucił z zajazdu Wołocha Dopulę.

Oczywiście, można w adaptacji zapożyczać się i w „Ogniem i mieczem”. Byłe z sensem i kulturalnie. Każdy z nas od dzieciństwa pamięta słowa Skrzetuskiego „Nie wylewaj waćpan wina”. A tu nagle... piwo. Dlaczego? Żeby zaakcentować niezależność twórcy filmowego? Zarzuty.

Idźmy dalej! Podstarość Czapliński reprezentuje w Czerwynie władzę, jest osobą urzędową. Dlatego grozi zamkiem i dybami całkiem realnie. W ustach przygodnego szlachetki przybyłego do Warszawy na konwokację, słowa te tracą wszelki sens.

I jeszcze jedna pretensja. Pan Wołodyjowski na szerokim ekranie był w wykonaniu Tadeusza Łomnickiego postacią raczej sympatyczną niż śmieszną. I to zgodne jest z ujęciem powieściowym małego rycerza. Reżyser serialu każe temu samemu aktorowi robić z Pana Michała postać buffo. Ulubiony bohater, wzór cnót rycerskich wpada w I odcinku serialu dość żałośnie. Ośmieszony i niemrawy. Może w dalszych odcinkach rzecz ulegnie poprawie. Na razie wygląda to nie zachęcająco.

Zdaje sobie sprawę, że adaptacja ekranowa nie może być mechanicznym przepisywaniem przy pomocy kamery filmowej stron powieści. Serial telewizyjny rzadzi się jeszcze dodatkowo specjalnymi prawami. Ale czy to znaczy, że wszystkie chwytły są dozwolone? Z Sienkiewiczem trzeba chyba mniej obcesowo postępować, panowie! Zbyt bliski jest on każdemu Polakowi.

Przyznaję, że z dużym niepokojem będę oczekiwał dalszych odcinków „Przygód Pana Michała”. Obym się mile rozczarował!

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



wznowieniem, lecz na polskich ekranach premierą filmu, który powstał przed 42 laty.

Te daty wyznaczają niejako kierunek naszych rozważań, wśród których dominuje pytanie, czy ów film z 1927 roku egzystuje w świadomości współczesnego odbiorcy i tylko jako pozycja klasyki filmowej, którą znać wypada, czy też zachował dzięki geniuszowi swego twórcy wielką siłę oddziaływania, która potrafi dziś jeszcze atakować intelekt i uczucia widza. Odpowiedź na to pytanie będzie oczywiście zawsze indywidualną sprawą każdego, kto spotka się z filmem Eisensteina.

Niewątpliwie, dla wszystkich, którym historia kina światowego jest bliżej znana, „Październik” będzie w twórczości Eisensteina przykładem jego prób praktycznych ucieleśnienia tez teoretycznych, traktujących „montaż atrakcji”, i „montaż intelektualny” jako struktury pozwalające kinu posługiwać się pojęciami ogólnymi. Eisenstein, ów artysta, powtarzając za A. Bazinem, „wierzący w obraz”, dążył do uzyskania maksymalnej ekspresji przez następstwo i zderzenia obrazów, przez montaż, który traktował jako podstawową metodę twórczą określającą logikę i język filmu. Wierząc w obraz, Eisenstein wybierał te

fragmenty rzeczywistości, które stanowiły niejako jej wyciągi zerzone ze sobą dawały jej interpretację, tworzyły nowe pojęcia i niosły idee generalne.

„Październik” („Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem”) to właśnie film wielkich idei. Zrealizowany w 1927 roku dla uczczenia dziesiątej rocznicy Wielkiej Rewolucji, nie stał się „Październik” rodzajem historycznego wykładu, lecz wielkim heroicznym poematem, którego tematem podstawowym było przedstawienie starego i nowego świata, starych i nowych idei.

Ludzie i sytuacje dla zderzenia tych dwu światów i idei reprezentatywni, pokazujący się w momentach największych napięć, w emocjonalnej kulminacji działania i gestu. Rezultatem tego jest wielki, patetyczny ton wzmocniony źródłami poetyckimi, wśród których symbol i metafora grają rolę niepoślednią.

A jednocześnie ten film, który przecież nie był dokumentem, przez owe czterdzieści lat uzyskał patynę czasu, która nałożyła nań niejako charakter obrazów dokumentalnych. Takiego obrazu tamtych dni współczesne kino, przy

najbogatszych swych środkach, nie zdolają już odtworzyć. I w tym miejscu wypada chyba stwierdzić, że współczesny widz przywykł do jakże odmiennego kina „twórców wierzących nie w obraz lecz w rzeczywistość”, nie może pozostać wobec eisensteinowskiego arcydzieła obojętny.

Film Eisensteina budzi nie tylko podziw dla geniuszu artysty, nie tylko utrwała świadomość roli jaką Eisenstein w dziejach światowego kina odegrał, lecz nadal atakuje naszą wrażliwość intelektualną i estetyczną.

Francuska komedijka E. Molinara pt. „POLOWANIE NA MĘŻCZYZNĘ” brutalnie ułatwia powrót do powszedniego dnia filmowego repertuaru, codziennego chleba konsumentów kinematograficznej rozrywki. Tym razem to danie z francuskiej, tak zazwyczaj dobrej kuchni, jest dość trudne do przełknięcia. Ani ono nowe, ani specjalnie smaczne, a jego pikantność też nie jest efektem najlepszej kompozycji ostrych przypraw.

Stary jak sztuka schemat sidiel zastawionych na męczyznę, którego pragnie

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

się w matrymonialne węzły uwikłać, zgodnie z tradycją rozegrany jest i w tym filmie w konwencji komediowej, ściślej mówiąc wodewilowej. Od wodewili oczekujemy jak zwykle zabawnych sytuacji, opartych głównie na założeniach qui pro quo, dobrego tempa i wdzięcznego aktorstwa. Mimo, że w „Polowaniu na męczyznę” elementy te w zasadzie odnajdujemy, wodewil ten mało bawi. Co więcej, budzi żal, że plejada tak świetnych aktorów jak H. Presle, C. Deneuve, J. Belmondo, C. Rich, B. Blier i wielu innych nie jest w stanie rozbawić nas tak jak to winno mieć miejsce w komedii tego typu. Widac w tej puszczanej w ruch maszynce tryby były już zbyt wytarte, a w schemacie zabrakło szansy na trochę większą porcję sytuacyjnej inwencji.

Być może, że wszystkiemu winien jest wiodący bohater tych matrymonialnych perypetii, czyli Jean Claude Brialy, który jest chyba jednym z najżałośniejszych amatorów francuskiego kina, bo jednak tam gdzie zjawiał się Jean Belmondo, tam zwyciężał dowcip i wdzięk, który wbrew wszystkiemu bywa atutem francuskiego „kina papy”.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje



Tino Rossi w młodości i obecnie

TINO ROSSI POWRÓCIŁ NA SCENĘ

„Śpiewałem w Liege. Zarezerwowano dla mnie pokój w Hotelu Angielskim. Tłum liczący trzydzieści tysięcy osób wrzeszczał pod moim oknem. Musiałem wyjść na balkon. Zostałem tam. Gdy tylko wracałem do pokoju tłum groził, że wylamie drzwi. O płaciej nad ramię, wyczerpany, rzuciłem się na łóżko i płakałem jak dziecko” — wspomina swe sukcesy w latach trzydziestych Tino Rossi, niegdyś bożyszcze tłumów, ulubieniec kobiet, które zabijały się z miłości do tego popularnego śpiewaka. I dziś jeszcze podobno otrzymuje stopy listów od wielbicieli. Ma sześćdziesiąt dwa lata. Urodził się w Ajaccio na Korsyce i jak głosi fama jest dalekim krewnym Napoleona, ale którzy to Korsykanin nie twierdzi, że jest krewnym Bonaparte-go?

Dawny, młodzieńczy, czarujący piosenkarz Tino Rossi zmienił się w posiwiałego starszego pana. Ostatnio postanowił jednak wrócić na scenę i występuje w jednym z paryskich teatrów.

Czym właściwie Tino Rossi fascynował tłumy? Aktorem był raczej słabym. Wypracował sobie kilka scenicznych gestów, zawsze jednakowych i zachował je nie zmienione nawet do dziś. „Czym pan tłumaczy swoje sukcesy?”

— spytał dziennikarz śpiewaka. „Wcale sobie nie tłumaczę — odpowiadział. — Może to sprawił timbre mego głosu?”. I następnie po krótkim wahaniu dodał, że być może złożyło się na to kilka przyczyn m. in. jego męski czar.

Istotnie jego głos był jakby aksamitny w brzmieniu. Tino z gitarą w ręku, choć na niej prawie nie grał, śpiewał głównie o miłości. Niewątpliwie brzmienie jego głosu i u-

roda południowca wpłynęły na popularność artysty.

Obecnie, po upływie kilkunastu lat od czasu swych triumfów, Tino Rossi występuje znowu na deskach scenicznych w teatrze Varna-Mogador w Paryżu jako bohater operetki czy raczej komedii muzycznej zatytułowanej „Handlarz słońcem”, w której śpiewa kilka swych dawnych, popularnych piosenek oraz nowe, trzech autorów, wśród których znajduje się Laurent Ross, jego syn.

Dotychczas nie wiemy jeszcze jak publiczność paryska przyjęła występy śpiewacza bożyszcza tłumów sprzed blisko czterdziestu lat.

WSPOMNIENIA MAURICE'A CHEVALIERA

Maurice Chevalier, dziś już liczący sobie 82 lata, jest postacią niemal legendarną. Przez wiele dziesięcioleci cieszył się niesłabnącą popularnością, opiewano o jego burzliwych miłościach, nazywano go donżuanem nr 1, ubiegano się o jego autografy, tłumnie uczęszczano na jego występy. Jeszcze niedawno od niego wspaniałe sukcesy w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Anglii. Ostatnio Maurice Chevalier wydał tom swych pamiętników pt. „Momme a cheveu blanc”, co nieco dowolnie przetłumaczyć można „Chłopak o siwych włosach”. Książkę poprzedziło słowo wstępne wybitnego pisarza francuskiego Marc'ela Pagnola.

W swych pamiętnikach Chevalier opowiada m. in. o trudnych początkach swej późniejszej kariery. Urodził się w paryskiej dzielnicy Menil-



montant. Miał lat 10 kiedy jego ojciec porzucił matkę. Ta chcąc utrzymać siebie i syna, ciężko pracuje fizycznie, jako robotnica przy wyrobie pasmanterii. Maurice chce pomóc matce pełni najrozmaitsze zawody. Pomaga elektrykowi, ślusarzowi, maluje lalki, handluje farbami, fa brykuje pineski. Marzy o karierze akrobaty w cyrku. Wreszcie udaje mu się dostać do jakiejś kawiarni w Montmartre, gdzie jest nie tyle śpiewakiem co clownem zabawiającym publiczność nieraz frywolnymi piosenkami. Odtąd zostaje śpiewakiem kawiar nianym w różnych lokalach. Płaca mu mało. Miedzy jednym występem, a drugim je niekierowane ziemniaki, nosi podarte buty, a jego nędzny ubiór wywołuje drwiny. Od tamtego czasu aż po dziś dzień będzie go nawiedzał lęk,

żeby znowu nie popaść w nędzę. Ma lat 20, gdy uśmiecha się do niego los. Maurice Chevalier dostaje się do słynnego kabaretu Folies-Bergere, gdzie m. in. poznaje słynną Mistinguette. Od tej pory zaczyna się dla Chevallera jedno nieprzerwane pasmo sukcesów, sławy, niesłychanej popularności. „Byłem dumny z tego, że spełniałem dobrze moją pracę, nigdy nie udawałem wielkiego artysty, nie mówiłem o artystycznym posłannictwie. Śpiewałem o miłości bez okrucieństwa, o życiu bez buntu” — powie w swych pamiętnikach. „Zawsze gdy wracałem na scenę miałem potworną treść”. Ta treść nie opuszcza go nigdy. Nawiedzały go też lęki, jak sobie ułożyć życie bez estrady. Występy stały się dla niego nęcące jak narkotyki. Podał się jednak poznać

się już ze sceną. W Nowym Jorku przygotowywany jest album pt. „Paryż Maurice Chevallera”, do którego słynny piosenkarz napisał ma tekst. Przygotowuje też książeczkę swych maksym i przemyszeń pt. „Mes petites lois”. Dwa przedsięwzięcia filmowe pragną nakręcić film o jego życiu.

Dziś Maurice Chevalier, mimo ciężaru lat, promienieje jak dawniej radością. Najlepiej czuje się w swym domu w Marnes-la-Coquette. Ściany zawieszają obrazami matki do której zawsze wraca jego myśl. „Moje życie było fantastyką, pełne wrażeń. Niczego nie żałuję. Jestem zachwycony tym, że mając lat 82 mogę zamienić moje akcesoria estradowe na długopis” — kończy swe wspomnienia wielki Chevalier.



Pablo Picasso — Guernica

„GUERNICA” NALEŻY DO REPUBLIKI HISZPAŃSKIEJ

Jak wiemy z prasy codziennej, wobec starań władz madryckich, aby słynny obraz „Guernica” znalazł się w Hiszpanii, Picasso stwierdził kategorycznie, że dzieło to należy do Republiki Hiszpańskiej i będzie jej przekazane z chwilą gdy Republika zostanie restytuowana.

Picasso namalował obraz zatytułowany „Guernica”, protestując przeciw faszyzmowi i wszystkiemu co reprezentuje gen. Franco, podczas wojny domowej na życzenie Republikańskiego Rządu. Płótno o rozmiarach 3,51 m na 7,82 metra powstało w roku 1937, bezpośrednio po tym jak Niemcy faszyści

zbombardowali i zniszczyli starą stolicę kraju Basków o nazwie Guernica.

Picasso wyemigrował do Francji. Obraz „Guernica” zdeponował w nowojorskim „Museum of Modern Art”. W roku 1944 Picasso wstąpił do Partii Komunistycznej, ponieważ jak mówił „komuniści we Francji, w Związku Radzieckim i mojej ojczyźnie byli najdzielniejszymi ludźmi”. Przysięgł też, że nigdy nie wróci do Hiszpanii póki rządzą tam Franco.

Pozostał więc we Francji. Na emigracji został też inni wybitni intelektualiści i artyści hiszpańscy tacy jak słynny wiołoczełista Pablo Casals, który opuścił Hiszpanię w roku 1939, jak poeta Juan Ramon Jimenez, który w emigrował w roku 1936, a

który w roku 1956 otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury i zmarł w roku 1958 na uchodźstwie czy wreszcie jak pisarz i historyk Salvador de Madariaga, emigrant od roku 1936, który zrezygnował ze wszystkich swoich funkcji pełnionych w ONZ, na znak protestu przeciw przyłączeniu Hiszpanii w roku 1952 do tej organizacji.

Przypominamy, że przez długie lata w faszystowskiej Hiszpanii nie wolno było urządzić wystaw obrazów Pablo Picassa, ani w prasie drukować jego nazwiska. Dopiero w związku z napływem zagranicznych turystów, urządzono w roku 1961 wystawę obrazów Picassa, a następnie w Barcelonie założono muzeum jego imienia.

W NASTĘPNYM NUMERZE „ODGŁOSÓW”

- ▲ Czy literatura ma prawa i obowiązki? — dyskusja
- ▲ BOGDA MADEJ — Logarytmy przed północą
- ▲ ANTONI SZRAM — o Andrzeju Wróblewskim
- ▲ ADAM LEWASZKIEWICZ — Traktat o rozbojach

oraz

felietony, recenzje, nowela kryminalna

ADAM NONAS

Radomszczański klub miłośników książki

Placówka „Domu Książki” w Radomsku, kierowana przez doświadczonego księgarza Alicję Zabkowską, posiada od dawna oddane grono przyjaciół skupione wokół księgarni. Tak więc utworzenie klubu miłośników książki było właściwie zabiegiem czysto formalnym.

Klub popularyzuje literaturę współczesną. Ogólne wiadomości z zakresu literatury klasycznej wynosimy jeszcze ze szkoły, natomiast literatura współczesna zmusza do szukania nowych form zbliżenia jej do czytelnika, wymaga szczególnie starannej informacji, jest przeciwieństwem żywym, ciągle się zmieniającym. Właśnie Klub miał być tą formą rozwiązyjącą problem szerzej informacji społeczeństwa o literaturze współ-

czesnej, dając jednocześnie możliwość wymiany opinii o danej książce, często przy udziale jej autora. Jaką drogą poszedł radomski Klub? Ustanowił przede wszystkim instytutę tzw. referentów. Każdy z nich czuwa nad powierzoną jego opiece dziedziną, a więc literaturą piękną polską i obcą, historią literatury, historią Polski i powszechną, sztuką, wreszcie literaturę, społeczno-polityczną i reportażową. Referenci odwiedzają regularnie księgarnię i przeglądają nowości. Daje to gwarancję, że żadna interesująca pozycja nie umknie uwadze Klubu. Na zebraniach roboczych są omawiane i analizowane propozycje referentów a także typowane książki miesiąca. W kółku zainteresowań Klubu mieszczą się również zagadnienia

teatru, muzyka, telewizja, film.

Szczególnie interesujące są odbywające się w Klubie spotkania autorskie. A nie są tam one bynajmniej rzadkością. Przecież nie raz w miesiącu gościł w Radomsku pisarz, a więc nie działacz społeczny. Kronika Klubu odnotowała już niezwykle bogatą galerię postaci. Przytoczę tu przykładowo takie nazwiska jak: Wiesław Bek, Jan Gerhard, Michał Rusinek, Stefan Majchrowski, Barbara Nawrocka, Danuta Bieńkowska, a z pisarzy łódzkich: Wiesław Jazdyński, Jan Koprowski, Andrzej Ostoj, Wacław Bilinski, Marek Wawrzekiewicz. Za ocenę spotkań niech wystrzeżę niektóre wpisy w wyżej wspomnianej kronice. Michał Rusinek: „Z tym samym sumieniem i głębokim przekonaniem wpisuję tu słowa podziękowania i uznania dla kierownictwa księgarni w Radomsku za tak szalową organizację spotkań i stworzenie wyjątkowo sympatycznej, ciepłej atmosfery tych urzekających klubowych spotkań. Było tak dalek, życząc sukcesów”.

Jan Gerhard: „Serdecznie dziękuję za ten miły, majowy wieczór. Za ciekawe spotkanie i gościnność”. Andrzej Ostoj: „Z prawdziwą satysfakcją i przyjemnością odbyłem spotkanie autorskie w Klubie Miłośników Książki przy księgarni w Radomsku, gdzie spotkałem się z czarującą publicznością. Na podkreślenie zasługuje doskonała organizacja spotkania i wysoki poziom dyskusji. Dziękuję i życzę dalszej owocnej pracy w tej dziedzinie”. Jakże wymowne są te słowa! Trzeba zwrócić jednocześnie uwagę na jeszcze jeden bardzo istotny element, — miejsce spotkań, którym jest, oczywiście księgarnia „Domu Książki” w Radomsku. Wiadomo przecież, że zła oprawa może zepsuć najpiękniejszy klejnot. Na szczęście księgarnia w Radomsku należy do najładniejszych nie tylko w skali województwa, ale i ogólnopolskiej. Rozmowy o literaturze na tle książek, w estetycznym lokalu, wpływają wydatnie na stworzenie kameralnej, intelektualnej atmosfery. Często atrakcją zebrzań są recyta-

cje poezji współczesnej w wykonaniu uczennic miejscowego liceum. Tak więc i młode kadry wdrażane są do pracy klubowej, aby w przyszłości podtrzymać dobre imię Klubu. Nic więc dziwnego, że Klub jest otoczony opieką ze strony nie tylko „Domu Książki”, ale i miejscowych władz partyjnych i administracyjnych. A jego szeregi stale rosną, niedługo przekroczą liczbę 100 członków. Trzon klubu stanowią nauczyciele, lekarze, prawnicy, bibliotekarze, inżynierowie, nie brak jednak i przedstawicieli innych zawodów.

Czy jest więc radomszczański Klub jakimś fenomenem? Na pewno nie. Jest natomiast ośrodkiem, w którym dzięki rzetelnej pracy oddanych książce osób, na czele z obecnym prezesem Klubu, mgr Tadeuszem Moskwińskim, udało się stworzyć niezwykle przychylny klimat dla literatury współczesnej. Jak do tej pory, niestety, nie udało się ta sztuka zadnemu innemu miastu naszego województwa.

Bez strachu

HOTEL „BATORY”

Idąc przez ulice Gdyni pełne ostrego „wilgotnego wiatru” — zobaczyłem nagle sterczące tuż za mijaną kamienicą kominy olbrzymiego statku. Nie była to sprawa tak bardzo znowu dziwna — tutaj każdy ma morze za oknem i może je poglaskać jak gniewnego, lub grzecznego psa. Uderzał jednak wyjątkowy ogrom statku, jego zupełna, długotrwała nieruchomość.

Podszedłem bliżej, bowiem kominy wyrosły niemal w zasięgu moich rąk, podszedłem niżej, tak, że dovoli oglądałem czarno-białe kadiub statku. Po niezmiernie stromej drabince wspinałem się na pokład — napsz Hotel „Batory”. Pokoje osiemdziesiąt siedem złotych za dobę w dowolnej praktycznej ilości. Hotel piękny, nowoczesny, wygodny — hotel godny tak pięknej nazwy. Dlaczego więc owa drabinka tak dalece stroma, drabinka ze stopni obłożonych, niebezpiecznie pod stopą ruchliwych... Pojąłem — ta drabinka daje hotelowym gościom iluzję niebezpieczeństwa, przypomina im że mieszkać będą w hotelu, który kiedyś był statkiem, wielkim śmiałym statkiem burzliwych oceanów. Dlatego ten moment wystylizowanej, laboratorijnej grozy wkalkulowany w cenę noclegu. Czyżby nie wierzone, że „Batory” to już nie „Batory”, czyżby mniemano, że trzeba o tym przypominać — gdzie są mieszkanie, którym potrzebne podobne przypomnienie? Zanim „Batory” został hotelem był czynnym, pływającym statkiem, ale przecież to nie był początek imienia i kojarzeń. Był kiedyś księż, wódz, król wreszcie wielkiej woli i mocy. Pamiętam go z obrazów — okrzęcony długą do kostek szatą, ogromny, zdaje się, że nieco ulomny, z głową nadmiernie wciągniętą w białe hatterskie ramiona. Głowę (jeżeli wierzyć obrazom) miał bardzo małą, rysy twarzy (jeżeli wierzyć obrazom) niezmiernie wyraziste utrwalone w gniewie o niebywałym natężeniu... Nosił (jeżeli wierzyć obrazom) małą czapkę z piórem. Zadania, którym ów król musiał sprostać, jego niezłomna odwaga, tak, był on godzien by Jego Imienia nazwanego wielki śmiały statek burzliwych oceanów. Pytam urzędnika w recepcji Hotelu „Batory” — czy można sobie załatwić sprawę zamieszkania. „Nie ma nie do załatwienia — prawie wszystkie pokoje są wolne”. Tak po bardzo stromych, metalowych schodkach opuszczam Hotel „Batory”. Studiuję zamierzoną groźną rodygotanych stopni. Mają groźną przeciwną filisterskiej formie bytu widm dawnych statków i bohaterów. W kawiarni spotykam znajomego, który podjął się wyszukać dla mnie pokój. Znajomy przynosił z moim przyszłym gospodarzem. Podajemy sobie ręce. Gospodarz głośnie mówi „Zborowski jestem”. Samuel Zborowski — to ten, któremu król Stefan Batory kazał ścinać głowę. Wzdrygnąłem się — ciasno odczylił mnie ludzie przed mioty — widma. Przez szybę widziałem kominy „Batory”, Zborowski ze smakiem wypijał kawę.

BERNARD SZTAJNERT

człowiek w MATNI

Matthew Farley czekał aż zapukają do jego drzwi. Czekal już od tygodnia. Zamknął się w mieszkaniu i łudził nadzieję, że może jednak to nie nastąpi. Żył wyłącznie potrawami z puszek, przygotował sobie zapasy w kuchence.

Jeżeli nie będę się pokazywał, pomyślał, że wyjechałem z miasta — pocieszał się.

A jednak ktoś zapukał do drzwi. Farley zdrzął. Pukanie rozległo się po raz drugi. Silniejsze, bardziej zdecydowane.

Czego mógł Farley oczekiwać? Tylko jednego: za chwilę rozpocznie się wachlarzowy ruch automatycznego pistoletu strzelającego przez drzwi. To samo zrobiono mężczyźnie, zabitemu w bilardowej sali.

Lecz to pukanie wydawało się nieszkodliwe, jakby przypadkowe.

Usiłował opanować narastającą falę paniki, która ścisła mu gardło.

Znów pukanie. Jakby ktoś miał sprawę do załatwienia i nie chciał z tego zrezygnować. To nie było pukanie mordercy, chyba nie!

— Panie Farley. — Głos był przytłumiony za zamkniętymi drzwiami.

Długa cisza...

— Panie Farley, czy pan tam jest?

Nie odpowiedział. Może tamten decyduje się odejść?

— Panie Farley, tu policja. Wiemy, że pan jest w domu. Chcemy panu pomóc. Proszę mi pozwolić na kilka minut rozmowy!

Krótką cisza i potem: — Panie Farley, czy pan jest tam?

— Policja — myślał osaczony człowiek. — Czy to możliwe? Zresztą — dlaczego by nie? Jeżeli morderca widział jego twarz i tropił go, mógł to samo czynić policja...

Gryzł paznokcie ze zdenerwowania, nie wiedział co robić. Znów pukanie.

— T... tak... — Była to ledwo słyszalna próba odpowiedzi.

— Panie Farley!!! — A jednak usłyszał go! W głosie nie-

znajomego zabrzmiał odcień triumfu. Ten człowiek musiał zmęczyć się daremnym tropieniem.

— Panie Farley, błagam, niech pan pozwoli, aby z panem porozmawiali! Już sześć dni pana szukam i w naszej sekcji zaczęli się niepokoić o pana! Proszę otworzyć!

Farley zbliżył się do drzwi, lecz ich nie dotykał. Oparł się o ścianę, wstrzymał oddech.

Dlaczego odezwałem się — myślał przerażony. Ten człowiek za drzwiami może być mordercą. Chociaż... Głos jego wzbudza zaufanie. Czuje się w nim szczerłość.

Milczenie z obu stron drzwi. Matthew patrzył w lustro. Zaw sze czynił to niechętnie. Nigdy nie był pociągającym mężczyzną. Mały, lysiejący, teraz zaczął tyć. W biurze niewiele z nim się liczone. Utrzymywał się na powierzchni życia tylko dzięki jednemu: umiał przemawiać. Mówił łatwo, błyskotliwie i prze konywająco. Niektórzy nazywa li go złotoustym.

Po raz pierwszy w życiu nie mógł wyrzec słowa. Język miał sparaliżowany.

Westchnął głośno. Z drugiej strony drzwi natychmiast odez wał się nieznajomy.

— Panie Farley, muszę z panem porozmawiać. Nazywam się Caldwell, detektyw Robert Cadwell, z 33 sekcji. Życie pana jest w niebezpieczeństwie, przy stano mnie tu, a pan... Do dia bła, mam już dosyć tego!

Przekleństwo wybuchło nagle, z wielkiej irytacji.

— Proszę słuchać, przystano mnie tu, aby panu pomóc, ale co mogę zrobić, jeżeli nie chce pan ze mną rozmawiać?

— Boję się... wyszeptał Mat thew.

— Nikt panu nie może zro bić nic złego, jestem z policji! I znów przekleństwo. A po tem usłyszał głośne kroki od dalającego się człowieka.

Policjant odchodził, muszę go zatrzymać! — myślał podnieco ny Farley.

Zdjął łańcuch z drzwi, otwo rzył je i wysunął głowę.

Człowiek zatrzymał się na schodach. — Nareszcie! — Ode tchnął z ulgą.

— Przykro mi... wyjął Matthew. — Ale nie czułem się do b rze, w ostatnich dniach choru je.

Caldwell zbliżył się do drzwi. — Czy mogę z panem pomówić?

Nagle Farley zdał sobie spra wę, że przecież znajduje się wobec policjanta i zawstydił się swą nieuprzejmością.

— Przepraszam, niech pan wej dzie.

Caldwell zatrzymał się w pro gu mieszkania. Wsunął rękę do kieszeni marynarki.

Farley zdreptał. Lecz poli cja nt wyciągnął tylko portfel.

— Chciałbym pokazać panu mój dowód, aby czuł się pan bezpieczny — rzekł spokojnie.

Matthew rzucił okiem na od znakę policjanta, a potem spoj rzał na jego twarz. Wzbudzała zaufanie.

— Proszę, niech pan wejdzie.

Caldwell wszedł. Matthew po dał mu rękę i wskazał fotel.

Sam usiadł na brzegu tapcza nu i czekał, co tamten powie.

— Panie Farley...

— Proszę mi mówić po imie niu: Matthew. Tak mnie nazywa no, gdy występowałem na scenie.

Farley nigdy nie występował na scenie.

— Dobrze, a więc... Przyszed lem tu z rozkazu porucznika Poote, kierownika naszej sek cji.

Matthew uśmiechnął się u przejmie. Nagle zapragnął mó wić. Mówić cokolwiek.

— Matthew — zaczął policja nt — Sześć dni temu człowiek naz wiskiem Ricci, został zamordo wany w sali bilardowej, która służyła także jako miejsce spot kań osób zajmujących się taj nymi zakładami w wysiegach konnych. Został zabity, ponie waż skradł część pieniędzy z zakładów. Czy pan coś wie na temat tego morderstwa?

Lecz Farley nie chciał umie rać i dlatego musiał kłamać.

— Zabójstwo, panie Caldwell! Nic nie wiem na ten temat. Od czasu, gdy opuściłem scenę, nie czuję się dobrze. Chodzę co dzień do biura, pracuję w fir mie...

— Tak, panie Farley — prze wał mu policjant niecierpliwie. W spojrzeniu jego pojawiła się irytacja. — Wiem, Wiemy, że pan pracuje dla Better Busi ness Bureau, że ma pan 44 la ta, że choruje pan na serce. Do wiedziałem się wiele, szukając pana przez sześć dni. Jeden z naszych agentów zauważył pa-

ną w pobliżu miejsca zbrodni. A więc — czy chce mi pan po wiedzieć, co pan widział?

Matthew pochylił głowę i szep nał: — Nie, panie Caldwell, nie nie wiem. — A potem rzekł głośnie: — Powtarzam, nie nie wiem na ten temat.

Caldwell pochylił się ku nie mu i mówił niemal błagalnie: — Panie Farley, tu chodzi nie tylko o tę zbrodnię. To miasto musi być oczyszczone, rozumie pan? Nie może pan sobie wyo brazić losu policjanta, który wi dzi otaczające go bagno prze stępstw. Pragnie to usunąć — i wciąż czuje, że jest bezsilny.

Czego pan chce ode mnie? — krzyknął Matthew. — Jestem człowiekiem spokojnym, niena widzę gwałtu i zbrodni tak sa mo jak pan. Gdybym coś wie dział, powiedziałbym panu. Ale nie nie wiem. Nie! I dlatego proszę, aby mnie pan zostawił w spokoju!

Jakże teraz żałował, że otwo rzył drzwi!

Caldwell podniósł się gwałtownie z twarzą czerwoną od gniewu. — Panie Farley, jakiś człowiek wszedł do sali bilardo wej. Posłużył się pistoletem ma szynowym. Zabił nie tylko to buza, z pewnością nie lepsze go od siebie, lecz zranił także trzy inne osoby, trzech spokoj nych, niewinnych obywateli, którzy grali w bilard. Gdyby musiał, bez wahania zabijałby także przechodniów na ulicy... Panie Farley, jak pan może spać spokojnie z tą tajemnicą na sumieniu?

— Panie Caldwell, nie chcę zajmować się tymi sprawami! — wybuchnął Matthew. — Mo że wydam się panu egoistą. Lecz nikt się nigdy nie martwił o mnie... Musiałem sam iść przez życie, nikt mi nie po mógł. Nie, panie Caldwell, ja nie nie wiem! A nawet — gdy bym wiedział, wolałbym mil czeć. A teraz proszę sobie już iść i zostawić mnie w spokoju!

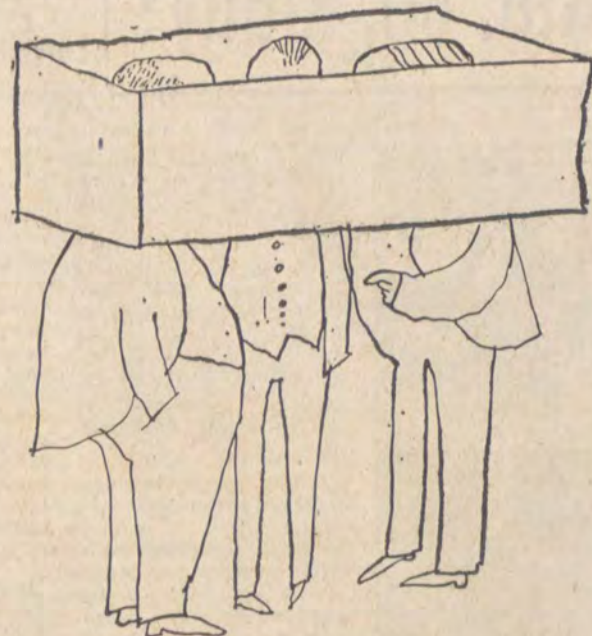
Podniósł się, podszedł do okna i patrzył na ulicę.

Usłyszał, jak Caldwell podno sił się. — Jest pan nędzną krea turą, Farley! Nie mogę powie dzieć, żeby było przyjemnością poznanie pana.

— Przykro mi. — Matthew nie odwrócił się. — Lecz to praw da, nie nie widziałem. Jestem chory.

— Ostrzegam pana, jeżeli dojdzie do procesu, możemy pana aresztować za odmowę złożenia zeznań. I wówczas może pan skończyć w więzieniu.

Matthew drgnął. Zobaczył się ble na ławie świadków, w swym nowym, błękitnym gar niturze. Siebie, który tak pięk



nie przemawia! On po raz pierw szy w centrum uwagi całego miasta... To już nie zwykły urz ednik, mały, lysiejący gruba sek — to naoczny świadek! Je go fotografie w gazetach, wy wiady... Sala sądowa zaslucha na w jego słowa, słowa złoto ustego mówcy!

Odwrócił się od okna.

— ...Ale jeżeli pan nie wie — kończył swe wywody zre zygnowany policjant — nie ma o czym mówić, panie Farley. Dobranoc!

— Proszę zaczekać! — Twarz Farley'a ożywiła się. Wciąż pan mówi, że byłaby to bardzo ważna sprawa? Ze narobiłaby szumu?

Caldwell znów zainteresował się — Ależ naturalnie, byłoby to wydarzenie najważniejsze w tym mieście od wielu lat. Czyż by pan zmienił zamiar? Głos po licjanta był pełen napięcia.

W jednej chwili Farley pod jął decyzję. Policja miejska wcale go nie interesowała. Prawda i sprawiedliwość nie miały dla niego znaczenia. Tył ko jedno się liczyło: będzie mógł przemawiać, będzie go słu chała publiczność.

— Tak, zmieniłem zamiar. Bę dę mówił. Proszę mnie zapro-

wadzić do sekcji, chcę mówić z porucznikiem. Powiem, co wi działem. Był to niski mężczyz na z raną na nosie. Miał na sobie...

Przerwał. Caldwell potrząsał głową powoli, ze smutkiem.

— Nie dobrze jest zabijać, pa nie Farley. Powinno się tego unikać. Chyba, że to jest ko nieczne, jak w przypadku Ric ciego. Myśleliśmy, że pan bę dzie bał się mówić. Posłali mnie jednak, abym się upewnił. Prze konał mnie pan teraz. Szkoda.

Wyciągnął pistolet.

— Postali mnie — ciągnął da lej Caldwell — ponieważ jestem dobrym mówcą. Uważali, że jeśli mnie się nie uda, to możemy pozostawić pana przy życiu. Ale widocznie ja lepiej umiem mówić niż pan.

Szedł powoli do tapczanu. Zdjął z niego poduszkę i poło żył na otworze lufy pistoletu.

Mathew zblił. Szeroko otwa rzył oczami patrząc na podusz kę, która zbliżała się ku niemu.

— Wie pan jaki jest kłopot z panem? — powiedział Cald well spokojnie przyskakiwac poduszkę do żołądka mężczyzny. — Mówi pan za dużo.

Oprac. A. S.



Lewym okiem

DAJ PAN SPOKÓJ!

Gdy Dante w towarzystwie Beatrycze wędro wał po którymś tam kręgu niebios napotkał wśród tłumu szczęśliwych duchów swego pra dziada i z radością do niego zagadał. Użył przy tym formy „voi”, czyli „wy”, na co uroczą to warzyszką zwróciła uwagę z uśmiechem, że przecież „w niebie się tak nie mówi”.

„Boska Komedja” powstała w XIII wieku. Z przytoczonej scenki wynika, że zwracanie się do rozmówcy w drugiej osobie liczby mnogiej, czyli per „wy”, było już wtedy znane, ale uwa żane za coś psującego harmonię niebieską, coś co wnosi w stosunki międzyludzkie niemily zgrzyt, oddala ludzi od siebie, czyni ich wza jemnie sobie obcy. Po to przecież we wszy stkich gramatykach świata istnieje druga osoba liczby pojedynczej, żeby właśnie tej formy używały dwie osoby: powinny się po prostu tykać!

Rzeczywiście — mówienie per „ty” było chyba najstarszą formą konwersacji, zawierającą w so bie — chciałoby się powiedzieć: immanentnie — założenie zupełnej równości rozmówców w każdym przypadku, ich jednakową wagę w dyskursie. Z biegiem wieków stosunki spo łeczne zaczęły się jednakże komplikować. Dwie osoby, rozmawiające ze sobą, uznały za abso lutnie konieczne podkreślić w każdym słowie istniejącą pomiędzy nimi nierówność. Żeby kogoś obcego nie urazić, nie znając jego praw dziwej rangi społecznej, a przy tym — żeby się okazać grzecznym, pełnym rewerencji, ustępu-

jącym pierwszeństwa — sięgnięto po ogólni kową formę drugiej osoby liczby mnogiej.

Nie wiemy, kiedy zaczęto stosować w Polsce formę „wy”. Nawet profesor Witold Cienkowski w swych uroczych książeczkach o dziwnościach i niespodziankach językowych („Z tajemnic ję zyka”, „Sekrety imion własnych”, „Kalejdoskop językowy”) nie uwzględnił historii i socjologii zwrotów „ty”, „wy”, „pan”. A sprawa widać nie taka bagatelna, skoro na przykład w Szwecji stała się w ostatnich miesiącach terenem roz grywki politycznej dwóch stronnictw. Oto Socjaldemokratyczna Partia Robotnicza, uznają ca od czterdziestu lat tykanie za formę obowiązującą w stosunkach pomiędzy swymi członka mi, objęła ster rządów szwedzkich. Premier Olof Palme ogłosił z miejsca, że tykanie wszy stkich przez wszystkich jest uolą ludu. Już na drugiej konferencji prasowej wszyscy dzien ni karze mówili do premiera; słuchaj, Olof; po wiedź nam, Olof; liberalny dziennik „Dagens Nyheter” nawołuje wielkim tytułem: „Ty, Oleś, zrób coś fajnego”, jednocześnie niepokoi się jednak, czy to aby nie koniec zróżnicowanego społeczeństwa?

Komentatorzy zauważają, że reforma taka była szczególnie potrzebna w Szwecji, bo właś nie tam tytułowanie było i jest ponoć niesty chanie skomplikowane i wymagające nader sprawnego języka i czujnej uwagi? A jak to jest na naszych śmieciach?

Formę „wy” stosowano przed setkami lat i do niedawna, bo aż do dziewiętnastego wieku, była to forma panująca. Tyle że feudalne obyczaje kazały często uzupełniać zwyczajne „wy” szeregiem tytułów, jak Wasza Miłość, Waszmość, Wasza Mość. Z czasem zrobił się z tego wielki galimatias różnych udiwnień, jak acan, wać pan, asindziej, asdzka i tysiąc innych. Tyle już tego było w mowach i pismach, że rozumny mąż stanu Adam Czartoryski, pisał w 1809 roku w liście do autora Słownika Polskiego, Samue la Lindego: „Czy nie można by, zmówiwszy się i porzucając się na zniesienie przesądu upo w szechnić wygodne „wam” i „wy” we wszystkich

dyalektach słowiańskich używanych krom na szego, mówiąc „do” i mówiąc „o” tak naj pierwszego rzędu osobach, jak i o niższych?”

W tymże jednak czasie rozpowszechniła się nieoczekiwanie dzisiejsza forma pan, nie ma jąca ścisłego odpowiednika chyba w żadnym języku europejskim. Mówię naturalnie o uży waniu tego słowa jako potocznego, universal nego zwrotu, bo „pana” w znaczeniu kogoś wy soko postawionego znają wszędzie, w każdym kraju. Przeciwno nadmiernej demokratyzacji „panów” protestował jeszcze w trzeciej ćwierci ubiegłego wieku A. Tyszyński, z którego roz prawki w „Bibliotece Warszawskiej” z 1874 ro ku czerpie część podanych w tym felietonie wiadomości twierdząc że „zwracanie się do osób równych i towarzysko niższych z wyrazem pan nie może być pochwalonym”, że jest to „karykatura logiczna”.

Karykaturą logiczną było niewątpliwie i bywa nadal łączenie słówka „pan” z drugą osobą licz by pojedynczej i posługiwanie się nim nawet w pyskówkach, kłótniach i obelgach. Dla przy kładu: daj pan spokój, przynieś pan, lub jeszcze śmieszniej: pan jesteś dureń, a pani matpa.

A z drugiej strony, gdyśmy już tylko zdemo kratyzowali „panów”, postaraliśmy się szybko, o to, żeby sprawę z powrotem skomplikować. Już przecież — żeby być grzecznym wobec zwier zchnika — nie wystarczy powiedzieć „proszę, niech pan podpisze” ani nawet „proszę, niech pan dyrektor podpisze”, nie — musi być: „może pan dyrektor będzie łaskaw uprzejmie podpi sać”. Zupełnie jak na dworze szacha perskiego. Obyczajów ani języka łatwo się nie zmienia. Czasami jednak dobrze jest zdać sobie sprawę, że przecież zmieniają się, że nie są odwiecznym porządkiem natury. I myślę, że nie obrażacie się, gdy zakończę ten felieton pytaniem: co o tym myślicie, szanowni Czytelnicy? — zamiast: co państwo szanowni Czytelnicy raczą o tym myśleć?

CWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Bądzlak (dział terenowy), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzimierz Stokowski (zastępca redaktora). Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” w Łodzi. Adres redakcji Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-38 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamówionych

Konrad Frejdlch (dział publicystyki), Roman Łoboda (poezja i proza), Andrzej Makowiecki (dział kulturalny), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-38 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 40, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamówionych

PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Ogłosy”. Druk Prasowe Zakłady